NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 8 czerwca 1907. Nr. 23.

Trup w kufrze. (Treść na stronie 2).



Trup w kufrze.

(Do illustracyi tytułowej.)

Ciężką i smutną jest dola narodu armeńskiego. Od wieków jęczy pod jarzmem niewoli tureckiej, gnębiony i uciskany przez nasyłanych urzędników sułtana. Co gorsza jednak w łonie tego narodu wre od szeregu lat zaciekła i namiętna walka między dwoma stronnictwami: staroarmeńskiem i młodoarmeńskiem. A walka ta nie ogranicza się na polemice w prasie i nie kończy się na niej. Sztylet, rewolwer, trucizna — oto argumenty, jakimi posługują się niejednokrotnie członkowie obu stronnictw. Też same stosunki panują i wśród kolonii armeńskiej w Ameryce. Oto nadeszła przed paru dniami wiadomość stamtąd do Europy o strasznej zbrodni na tle politycznem.

Wedle opisu miejscowych dzienników przybyło w ubiegłym tygodniu dwu młodych Armeńczyków do jednego z hoteli w Nowym Jorku, przywożąc ze sobą dwa ogromne kufry. Następnego dnia rano opuścili obaj młodzi przybysze hotel, kufry zaś swoje zostawili w wynajętym pokoju. Minęło kilka dni, a młodzieńców nie było z powrotem. Gospodarz począł się niepokoić, zwłaszcza, że z jednego z kufrów wydobywała się niemiła woń zgnilizny. Wezwano tedy policyę, która po otwarciu kufra znalazła wewnątrz zwłoki ormiańskiego mnicha, ojca Kaspara, pochodzącego z miejscowości Mosz w Armenii.

Śledztwo, jakie w sprawie tajemniczej zbrodni przeprowadzono, wykazało, że ojciec Kaspar padł ofiarą morderstwa na tle politycznem. Należał on mianowicie dawniej do partyi młodo-armeńskiej i odegrał wśród niej wybitną rolę. W ostatnich czasach jednak przeszedł do stronnictwa staro-armeńskiego, czem ściągnął na siebie nienawiść dawnych przyjaciół politycznych, którzy podejrzywali go o denuncyacyę i z [illegible] te kać należy przyczyny zbrodni.

Policya nowojorska szuka sprawców mordu jak dotąd, bezskutecznie. Wiadomo, iż sprawcy przebywali nawet przez kilka dni poprzednich w towarzystwie swej ofiary, mieszkając w jej domu. Zwłoki znaleziono w kufrze w pozycyi siedzącej, bez śladu zewnętrznego uszkodzenia. Prawdopodobnie więc ojca Kaspara zachloroformowano i zamknięto do kufra, gdzie wskutek braku powietrza udusił się.

* * *

Rycina nasza przedstawia scenę, gdy policya nowojorska otwiera kufer tajemniczy i znachodzi w jego wnętrzu zwłoki zamordowanego.



Potworny zamach: Biskup lubelski ks. Franciszek Jaczewski. (Do artykułu na stronie 10).



Sokole święto w Cieszynie: Pochód Sokolstwa na b[illegible]. Na czele grono dziewcząt śląskich.

Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.



Sokole święto w Cieszynie: Grupa dziewcząt śląskich w strojach narodowych.

Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków,

Sokole święto w Cieszynie.

Nie ma dziś chyba nikogo wśród społeczeństwa polskiego, ktoby nie zdawał sobie jasno sprawy ze znaczenia, jakie dla życia narodowego ma nasze Sokolstwo. Zwłaszcza zaś na kresach naszej Ojczyzny, czy to wschodnich, czy zachodnich, tam gdzie żywioł polski ciężką musi staczać walkę z wrogiem sobie otoczeniem, Sokolstwo i jego szczytna idea stanowią ostoję polskości, one dodają jej sił do dalszej walki i prowadzą do zwycięstwa, prowadzą do tryumfu.

To też każde święto sokole jest świętem narodowem. Jednym z tego rodzaju podniosłych, uroczystych dni była ubiegła niedziela; w dniu tym odbyło się w Cieszynie poświęcenie sztandaru tamtejszego gniazda sokolego, oraz zlot okręgu krakowskiego. Do podniesienia nastroju uroczystości przyczynił się w znacznej mierze udział druhów z Królestwa Polskiego, oraz z pod zaboru pruskiego. Z okręgu krakowskiego stawiło się w Cieszynie 42 gniazd, przybyły nadto delegacye z innych okręgów, a liczba uczestników ogółem przekroczyła 2000 osób.

Z wielką serdecznością przyjęli Polacy śląscy przybywających do Cieszyna gości. Tysiące mieszkańców stolicy Śląska oraz nieprzejrzane tłumy ludu z okolicy w odświętnych strojach ludowych, powitały gorąco drużyny sokole na dworcu, obrzucając miłych gości kwiatami. Z dworca udała się część przybyłych, mianowicie druhowie ćwiczący, na boisko, położone za strzelnicą miejską, reszta zaś podążyła do „Domu narodowego“ przy placu Demla. W Domu tym, ozdobionym skromnie chorągwiami o barwach narodowych, odbyło się ponowne powitanie gości, niezwykle serdeczne i szczere. boć zebrali się tam Polacy ze wszystkich trzech dzielnic. W czasie zebrania drużyn polskich w „Domu narodowym“ próbowali Niemcy, którzy w ten sam dzień urządzili zjazd turnerów, sprowokować Polaków; oto placem obok „Domu narodowego“ przeszli turnerzy w liczbie około 40, same młodziki gołowąse, ze sztandarem, krzycząc „All Heil“. Demonstracya ta była jednak tak marną, że na nią ledwie zwrócono uwagę.

O 11-ej przedpołudniem odbyło się poświęcenie sztandaru. Wśród nieprzejrzanego morza głów ruszył zwolna pochód Sokolstwa ku kościołowi farnemu. Na czele szła kapela i banderye, dalej Sokoli czwórkami, za nimi dziewczęta śląskie, lud okoliczny, wreszcie orkiestra Sokoła krakowskiego. Po poświęceniu sztandaru przez ks. prałata Sikorę, wygłosił podniosłe kazanie poseł ks. Londzin, poczem pochód w tym samym porządku powrócił do „Domu narodowego“. Tu odśpiewano choralnie kilka pieśni patryotycznych, poczem w sali czytelni odbyło się uroczyste wbijanie gwoździ w drzewce sztandaru. Podczas tego wygłoszono kilka pięknych, duchem prawdziwie patryotycznym owianych przemówień.

Po tej uroczystości rozeszli się uczestnicy zlotu na obiad. Część ich, około 300, pozostała w gmachu, gdzie odbył się bankiet; między obecnymi tu byli delegaci wszystkich gniazd sokolich, starszyzna sokola, wybitni działacze kresowi, najpoważniejsze osobistości ze Śląska, grono pań, przedstawiciele prasy i stowarzyszeń itd. W czasie obiadu wzniesiono szereg toastów.

Z kolei ruszono znowu w olbrzymim pochodzie przez całe miasto na boisko i plac ćwiczeń. Pochód ten otwierała banderya cieszyńskich i okolicznych obywateli, przepasanych szarfami biało-czerwonemi. Dalej postępował oddział straży pożarnej, zastępy członków rozmaitych polskich stowarzyszeń i korporacyj ze Śląska, członków gniazd sokolich w ubraniach cywilnych, zastęp pań, wśród których wyróżniał się oddział sokolic w mundurach, dalej oddziały Sokolstwa w mundurach, między tymi zastępy Królewiaków i delegacya z zaboru pruskiego, wreszcie deputacya Sokoła włościańskiego z Bieńczyc. Pochód witano w całem mieście z nieopisanym entuzyazmem, wznoszono donośne okrzyki na cześć gości, z okien obsypywano uczestników pochodu kwiatami. Wiele domów, obok których pochód przechodził, było udekorowanych.

Ten sam entuzyazm i podniosły nastrój panował podczas prześlicznych ćwiczeń na boisku, przyjmowanych burzą oklasków. Zmrok zapadał, kiedy ostatni ćwiczący schodzili z placu.

Ćwiczeniami zakończył się ten piękny, pamiętny w życiu śląskiej Polonii dzień. Pamiętny on i święty, bo zaświadczył o sile żywiołu polskiego w prastarej ziemicy Piastowskiej, bo zaświadczył o solidarności narodowej Polaków ze wszystkich



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis Kraków.

Sokole święto w Cieszynie: Fragment pochodu Sokolstwa. Deputacye gniazd z Warszawy i Królestwa Polskiego.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.

Sokole święto w Cieszynie: »Dom narodowy polski«, udekorowany na powitanie Sokolstwa okręgu krakowskiego.

zaborów. Dumni mogą być Ślązacy z przyjęcia, jakie przygotowali na cześć gości, a Sokolstwo może się szczycić dowodem siły i organizacyi, jaki złożyło w dniu tym w Cieszynie.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.

Sokole święto w Cieszynie: Podczas zebrania w »Domu narodowym«, gdy ludność polska śpiewa »Jeszcze Polska nie zginęła«, turnerzy niemieccy (X) demonstrują i śpiewają »Wacht am Rhein«.

Zmarnowana egzystencya.

(Do illustracyi na stronie 9).

Życie nad stan, bez myśli o jutrze, łatwość zdobywania tanich sukcesów w tych sferach, dla których blichtr zewnętrzny jest wszystkiem, sprowadzają często osobniki w rodzaju hr. Grabowskiego na pochyłą drogę, z jakiej niema powrotu. W obliczu tylu wielkich zadań i pracy społecznej, oczekującej każdego Polaka w zaborze rosyjskim, tem godniejszem potępienia jest wszelkie rozpraszanie bezcelowe zasobów sił intelektualnych i ekonomicznych. Podobnie, jak wielu innych młodych ludzi należących do polskiej arystokracyi i hrabia Józef Grabowski szukał karyery w sposób bardzo łatwy, ale też i zawodny. Wstąpił do wojska rosyjskiego, a mianowicie pułku gwardyi „huzarów grodzieńskich“, stojącego załogą w Warszawie. W gronie kolegów bawił się znakomicie dotąd, dopóki nie pośliznęła mu się noga, tak że wreszcie był zmuszony opuścić pułk, gdzie miał wątpliwy zaszczyt kolegować z oddanym obecnie pod sąd wiceministrem Hurką, synem byłego wielkorządcy warszawskiego.

Hr. Grabowski był bardzo znanym zarówno w salonach Warszawy, jak i na jej bruku, a gdy naraz zniknął, nie brakło drastycznych komentarzy do jego zniknięcia. Już był utonął w „zapomnienia fali“ u mieszkańców syreniego grodu, gdy dzienniki przyniosły wiadomość o jego śmierci, która zaskoczyła go nagle podczas próby w jednym z kijowskich teatrów, do którego miał wstęp jako jeden ze stałych bywalców teatralnych.

Ubytek hr. Grabowskiego z pomiędzy szeregów polskiego społeczeństwa, nie wywołał oczywiście trudnej do zastąpienia luki, nie sposób jednak oprzeć się przykremu uczuciu, gdy widzi się tak zmarnowane osobistości, które mogły być w danym razie — z racyi swego urodzenia i zdolności — ozdobą polskiego narodu.

Nowy prezydent

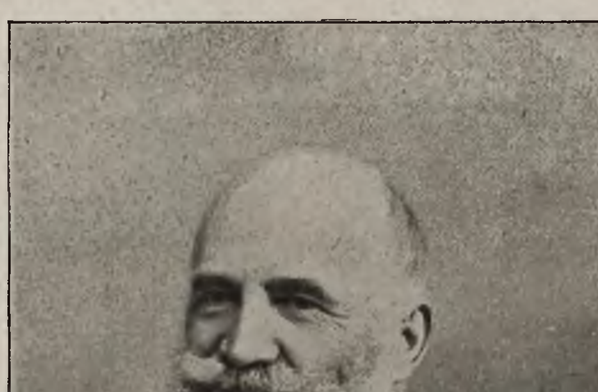
Czerniowce ochłonąwszy z głębokiego wrażenia, jakie wywołał nagły zgon wzorowego gospodarza, jakim był dr. Reiss, prezydent stolicy bukowińskiej, musiały się niespodzianie zakrzątnąć około wyboru nowego kierownika autonomii miejskiej.

Sprawa ta pomimo gorączki wyborów parlamentarnych, od miesiąca była przedmiotem powszechnej dyskusyi między radnymi gminy, kto właściwie mógłby zostać godnym następcą zmarłego burmistrza, a któryby posiadał zaufanie i sympatyę wszystkich stronnictw, któryby tak jak dr. Reiss znał w najdrobniejszych szczegółach sprawy miejskie i któryby tymi sprawami zajmował się gorliwie przez lat przeszło 22 bez przerwy.

Wybór prezydenta miasta odbył się dnia 28 maja b. r. i wydał rezultat z góry przewidziany.

Prezydentem stolicy został wybrany jednogłośnie dotychczasowy pierwszy wiceprezydent Feliks baron Fürth.

Co się tyczy osoby nowowybranego prezydenta miasta, to podnieść wypada jego energię, sumienność i doświadczenie nabyte długoletnią pracą w prezydyum miasta. Spodziewać się należy, że nowy kierownik autonomii miejskiej, idąc śladami swych poprzedników, zwłaszcza ś. p. br. Kochanowskiego, obok wymienionych cennych zalet objawi i inną, że mianowicie potrafi stanąć ponad partyjnemi sprawami różnorodnych żywiołów miasta, że nie da się powodować tendencyą partyjną, lecz ekonomicznem i moralnem dobrem miasta, popierać będzie dążenia na polu szkolnictwa i innych potrzeb kulturnych. Wybór br. Fürtha zarówno radni jak i licznie zebrana publiczność przyjęła żywymi oklaskami.



Nowy prezydent: Feliks br. Fürth, prezydent miasta Czerniowiec.

Obok jego portretu zamieszczamy parę dat z życia nowego prezydenta miasta. Baron Feliks Fürth, syn podpułkownika Karola br. Fürtha i Maryi v. Körber, urodzony w r. 1847, został 1 września 1868, po ukończeniu akademii wojskowej w Wiener-Neustadt, mianowany podporucznikiem 24 pp. w Kołomyi. Skutkiem wczesnej śmierci ojca opuścił służbę wojskową w charakterze porucznika. Od r. 1882 zasiada w Radzie miejskiej, a od czerwca r. 1905 piastuje godność I. wiceprezydenta, otaczany szacunkiem i zaufaniem. Uwagi niniejsze kończymy życzeniem „Szczęść Boże“ nowemu prezydentowi.

Skon pierwszej dziennikarki polskiej.

Smutna wiadomość nadeszła przed paru dniami z Warszawy. Oto zmarła tam śp. Felicya z Jollesów Kaftalowa, wdowa po znanym obywatelu warszawskim Izydorze Kaftalu, współpracowniczka warszawskiego „Kuryera Porannego“. Była to postać powszechnie w Warszawie znana, i dla niezwykłych zalet serca i umysłu ogólnym otaczana szacunkiem.

Śp. Felicya, córka bogatego założyciela pierwszych kolei niemieckich, wychowała się wraz z licznem rodzeństwem w Berlinie. Kiedy ojciec jej



Skon pierwszej dziennikarki polskiej: Śp. Felicya z Jollesów Kaftalowa, współredaktorka »Kuryera Porannego«.

stracił cały majątek, przeniosła się do Warszawy, gdzie poślubiła śp. Izydora Kaftala. W Warszawie zżyła się szybko z tamtejszem społeczeństwem a dom jej stał się przybytkiem kół miejscowej inteligencyi a zwłaszcza kół artystycznych. Wnet po założeniu „Kuryera Porannego“ wstąpiła w skład redakcyi tego dziennika. Wrodzona żywość umysłu, zadziwiająca pamięć, znajomość kilku języków, niezwykły dowcip — oto zalety, jakie cechowały tę pierwszą polską dziennikarkę. Niepodzielną specyalnością śp. Kaftalowej były opisy zebrań towarzyskich, a przedewszystkiem bajeczne wprost opisy strojów kobiecych. Zapraszano ją tedy skwapliwie na bale dworskie i urzędowe, na przejazdy monarchów, na najrozmaitsze uroczyste przyjęcia. Do pisma, w którem pracowała, była całą duszą, całem sercem przywiązana i służyła mu wiernie do ostatnich chwil.

Skon śp. Kaftalowej osierocił jej córkę, p. Margot Kaftalównę, znakomitą śpiewaczkę dramatyczną, która występami swymi w operze w Warszawie i we Lwowie zyskała sobie jednozgodne uznanie krytyki.

Cześć pamięci zacnej kobiety i pierwszej polskiej dziennikarki.

* * *

Obok zamieszczamy portret śp. Felicyi Kaftalowej.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

26 Ciąg dalszy.

— Tylko my ponieśliśmy — odpowiedział Fignra — i trochę z polskiej partyi, szkoda, że wasza depesza opóźniła się.

— Nie przypnszczaliśmy, że ruszycie się bez wskazówki, a dowiedziawszy się o zamiarze, wysłałem natychmiast depeszę... No, a bund?

— On przeczuł waszą depeszę — zaśmiał się Igielski nie manifestował wcale, chociaż innych parł do tego.

— Czyż tak? — nśmiechnął się Wara z ironią.

— Dlaczego wy towarzyszu Wara – rzekł Jonasz tonem urażonym — macie dwie miary? Jak oni mówią — wskazał na Porwę i dwóch towarzyszy — że muszą się liczyć z warunkami, to wy to rozumiecie, a jeśli bund nie chce narażać swoich na śmierć niepotrzebną i bez pożytku, wy uśmiechacie się złośliwie. Tak nie powinno być! Co?...

— Znów Piekarski — mruknął Igielski.

— Co wy sobie pozwalacie! — oburzył się Jonasz — ja tu delegat i nie wiem, czy ja na posiedzeniu, czy w karczmie.

— Zwolna, zwolna — rzekł Bal patrząc ostro w oczy Jonasza — miarknijcie się, gdzie jesteście i z kim... a nie podoba wam się nasze towarzystwo, wolna droga. Jeśli bund chce brać udział w naszem posiedzeniu, niech wybierze lndzi przyzwoitych.

— Wy mnie wyrzucacie? — zerwał się z krzesła — ja to powiem bundowi!

— Mówcie, a ja napiszę.

— Dajcież spokój — przemówił Wara — wy Jonaszu jesteście obraźliwi i obrażacie innych. No, uspokójcie się.

— Nie, ja idę, a wy będziecie świadczyć, że oni mnie wyrzucili.

— Hm... kiedy chcecie, to idźce — wzruszył Wara ramionami.

Jonasz stał chwilę niezdecydowany przy drzwiach, czekał, czy nie będą go prosić, wreszcie namyślił się i wracając do stołu, zaczął mówić z uśmiechem:

— Ja nie taki, abym zrywał solidarność... ja tylko niecierpliwy taki... nu, niech będzie zgoda — usiadł na krześle — no i powiedzcie mi, dlaczego ja się nie kłócę z wami Wara, ani z Figurą, tylko z nimi? — spojrzał mimowolnie z nienawiścią na trzech towarzyszy.

Bal pochwycił to spojrzenie i przemknęło mn w myśli, że Jonasz, powodowany zemstą, może w stosownej chwili ich zdradzić; więc uprzedzając ten może nieprawdopodobny zamiar jego, zapytał:

— Co się dzieje z Machabeuszem? nie wiecie, towarzyszu Jonaszu?... Dawno go już nie widziałem...

— Wy go znacie? — zdziwił się.

— Naturalnie, jego i Jeremiasza, Szkapę, Rybaka, Lewitę i wieln innych.

— A wy skąd ich znacie? — spytał z niedowierzaniem.

— Od czegóż jestem socyalistą? — zaśmiał się Bal — zresztą są także n nas dawni bundziści...

— U was?... To tylko tacy, których nie chcieliśmy.

— Czy i Metala nie chcieliście?

— To był człowiek nienormalny, więc ten się nie liczy. Ale skąd wy znacie tych bundzistów?

— Mamy w archiwum nazwiska wszystkich organizatorów bundu.

— Jakto? na piśmie? To niebezpieczne dla nich!

— Pismo szyfrowane, a archiwum bardzo bezpieczne, bo za granicą.

— Tak? No, nie wiedziałem... ale wy, towarzyszu, niebezpieczny człowiek.

— To nie — uśmiechnął się — ale zaczepiony potrafię się obronić.

— Nu, ja to widzę... nie znałem was.

Zaczęła się ogólna rozmowa o położeniu politycznem Rosyi i jej finansach. Wszyscy zgodzili się na to, że rząd nie dostanie pożyczki zagranicznej, póki nie będzie wewnętrznego spokoju, jeden tylko Porwa był odmiennego zdania.

— Rząd dostanie pożyczkę — mówił — bankierzy złakomią się na wysoki procent a inne rządy poprą usiłowania rosyjskie w obawie rozszerzenia się zarazy rewolucyjnej.

— Kto wie, czy nie masz racyi — rzekł Kola po namyśle — rynki pieniężne są w rękach żydów.

— To prawda — zawołał Jonasz — i właśnie dlatego odmówią oni, chyba, że rząd przyzna prawa żydom.

— Łudzicie się — uśmiechnął się Porwa — wszyscy bankierzy są jednacy, im chodzi tylko o zysk.

— Ale nie nasi, nie żydowscy — mówił z dumą Jonasz.

— Hm... zobaczymy.

Logika zaprosiła obecnych na przekąskę do przyległego pokoju, a Jonasz tak się usadowił, aby być sąsiadem Bala i ku niemałemu zdziwieniu zaczął rozmawiać po polskn. Bal i Porwa zrozumieli przyczynę tej zmiany; była to obawa, że ci dwaj zadużo wiedzą o bundzie.

Na drugi dzień Porwa przy pomocy posłańca, który wybadał lokaja Gołubiewa, dowiedział się, że sekretarz chodzi na obiad do Europejskiego hotelu pomiędzy drugą a trzecią i tam udał się na spotkanie.

W ładnej, wielkiej sali przy rozstawionych stolikach, siedziała liczna, mniej więcej doborowa publiczność, a lokaje usługiwali cicho i szybko.

Porwa nsiadł przy bocznym stoliku i czekając na przybycie Gołnbiewa, wybierał ze spisu potrawy.

Po trzeciej zjawił się Gołubiew i szedł wprost do stolika, przy którym siedziało dwóch oficerów z gwardyi i jakiś pan starszy w cywilnem ubraniu. Przywitał się z nimi, jak ze znanymi przyjaciółmi, wybrał potrawy i rozmawiał wesoło, wybuchając często głośnym śmiechem.

Właśnie skończył zupę i czekał na mięso, gdy Porwa zbliżył się do tego stołu. Spostrzegł go pierwszy Gołubiew i pobladły poruszył się na krześle jakgdyby chciał uciec, lecz namyślił się i wyprostowany w krześle, czekał na Porwę.

Ten, nie zwracając uwagi na Gołubiewa, przystąpił do stoln z ukłonem:

— Darujcie panowie, że was trudzę, ale jestto sprawa honorowa, a widząc panów w takiej zażyłości z tym panem — spojrzał na Gołubiewa — uważam za konieczne was uprzedzić o nim, jako człowieku.

Towarzysze sekretarza spojrzeli zdziwieni po sobie, patrzyli ciekawie na pobladłego Gołubiewa, to znów na Porwę i milczeli.

— Jestem Wincenty Rypiński, inżynier — skłonił się — i wczoraj jedna z pań mi znajomych zażądała mej pomocy wobec natrętnych nagabywań i cynicznych propozycyj tego pana. Podałem rękę tej pani i szliśmy spokojnie dalej, lecz ten pan uważał za stosowne ubliżyć tej kobiecie w mej obecności. Nie miałem innej rady, jak spoliczkować go.

— Co tam słuchacie tych bredni — zawołał oburzony Gołubiew — a pana za napaść oddam w ręce policyi.

— Za pozwoleniem — rzekł surowo porucznik — honoru nie pierze się w policyi.

— Cóż dalej, proszę mów pan — odezwał się drugi do Porwy.

— Przypuszczałem, że ten pan zażąda honorowej rozprawy ze mną, tymczasem on zawołał policyanta, patrol i rozkazał tę panią i mnie aresztować. I znów w kancelaryi cyrkułu rzucił słowa hańbiące kobietę. Po kilku godzinach wypuszczono nas. Otóż biorę was panowie jako świadków nie do rozprawy honorowej, bo tej on nie wart, ale przy was uprzedzam go, że jeśli ośmieli się zbliżyć do tych pań lub mścić się na nich, żądając z policyi dla nich książeczek sprzedajnych kobiet, co już raz zrobił, publicznie obiję go kijem jak psa.

Nastała cisza w tej stronie sali, gdy Porwa przemawiał i wszyscy z zaciekawieniem patrzyli na rozgrywającą się scenę. I wśród tego milczenia, ten starszy pan w cywilnem ubranin, zapytał:

— Cóż pan, panie Gołubiew, na to oskarżenie?

— Ja? — bełkotał blady — alež ja nie znam wcale tego pana... to pomyłka.

— Panie Gołubiew — rzekł Porwa — nie sądź pan, że dla przypomnienia panu mej osoby, drugi raz spoliczkuję pana... szkoda mi ręki... A co powiedziałem, to dotrzymam — skłonił się i chciał odejść.

— A zaczekaj pan! — zawołał porucznik — sprawa nie skończona. Panie Gołubiew, broń się pan, zarzuty są ciężkie.

— To intryga polska... to zemsta.

— Jeśli tyle masz pan na swoją obronę, to dobrze — a zwróciwszy się do stojącego opodal garsona zawołał: — proszę przenieść moje nakrycie na inny stolik.

— I moje — powtórzyli dwaj inni i zwracając się do Porwy, dodali: — Dziękujemy panu za wyjaśnienie — przedstawili się kolejno.

Przy stoliku siedział przez chwilę oszołomiony Gołubiew, wreszcie wstał i powlókł się do garderoby, rozmyślając z goryczą:

— Ot nasi i opuścili mnie... To czasy!

X.

Udany zamach na Nikiforowa wywołał wśród biurokracyi rosyjskiej popłoch. Wiedziano, że zawsze na ulicy był w otoczeniu straży, a w dniu zamachu wysłał przed sobą ajentów, jednak dosięgli go socyaliści i to w dniu, gdy oberpolicmajster wyróżnił go, obiecał mu prędki awans i nagrodę!...

Jeśli bojowa partya porwała się na komisarza, może tak dobrze zrobić zamach na innych, wyższych.

To też na konferencyę do Czerniejewa przyszli wszyscy w pewnem podrażnieniu a von Plessen przemówił:

— Ostatni zamach na Nikiforowa świadczy o nadzwyczajnej śmiałości przewrotowej partyi i mojem zdaniem należy odpowiedzieć bezwzględną surowością.

— Tak podpułkowniku — przyzwalająco rzekł Czerniejew — ale winowajcy zawsze uchodzą, jak świadczą raporta policyjne — i spojrzał niemile na oberpolicmajstra.

— Sprawcy uchodzą istotnie, gdyż przeciw nam jest cała ludność. Bywałem przecież za granicą, a nawet w tej samej Warszawie pamiętam czasy, — bronił się oberpolicmajster — że winny zabójstwa bywał przytrzymywany przez samą publiczność, albo też ułatwiała ona poszukiwanie winnego. Dziś wszyscy są przeciw nam. Dożyliśmy czasów, że zabójca jest bohaterem.

— Bo też to nie są zabójstwa zwykłe, ale polityczne — mówił von Plessen — niema co ukrywać. Polacy wszyscy nas nienawidzą — pomijam przyczyny — faktem jednak jest, że przez nienawiść do nas, zbrodnie popełniane na nas nchodzą bezkarnie i temu musimy stanowczo zaradzić. Proponowałbym w pierwszym rzędzie rozbrojenie całej ludności, a u kogokolwiek znajdzie się broń, podlega sądowi wojennemu, jako należący do partyi bojowej.

— Zgadzam się z wnioskiem poprzednim — rzekł pułkownik Krasotin z ochrany — dodałbym, że każdy, u którego znajdą się pisma nielegalne zostaje w drodze administracyjnej wysłany do oddalonych gubernii, bo mojem zdaniem nie tyle szkodzi nam broń ich, ile podburzające pisma, ośmieszające nas, lekceważące zarządzenia; one to są ową zarazą, wywołującą wszystkie niepokoje i bunty.

— Toż zmiłujcie się pułkowniku — przemówił Czerniejew do Krasotina — gdybyśmy poszli za waszą radą, to najmniej pół Warszawy musielibyśmy jutro wysłać do oddalonych gubernij. Czyż jest kto w Warszawie, którby nie czytał i nie miał pism rewolucyjnych? Sam widziałem chłopców sprzedających pisma nielegalne, na co policya przymruża oczy, a wy chcecie karać?!

— Wiem o tem ekscelencyo — odpowiedział Krasotin — i wcale nie mam zamiaru każdego, winnego przekroczenia rozkazu, karać... ale dużo jest podejrzanych, których na uczynku pochwycić nie można, a posiadanie przez nich pism wystarczy do pozbycia się ich z Warszawy.

Oberpolicmajster i jeden i drugi projekt gorąco popierał, a generał Tiszew doradzał rozszerzenie kompetencyi sądów wojennych tak w sprawie broni, jak i pism nielegalnych.

Gołubiew, który dotychczas w milczeniu notował projekty innych, zachęcony spojrzeniem Czerniejewa, zaczął:

— Mojem zdaniem, rozbrojenie całej ludności z broni palnej a oddawanie winnych przekroczenia pod sąd polowy, jak również wniosek pułkownika Krasotina, dotyczący pism podburzających, a uzupełniony przez generała Tiszewa, mogą do pewnego stopnia przyczynić się do uspokojenia ludności ale zarazem pozwolę sobie powiedzieć, że są to półśrodki, a tu trzeba radykalnych, bo nikt z nas nie będzie pewien życia, a majątek skarbowy zniszczeje.

Umilkł i patrzał po obecnych, czy pochwalają jego zdanie. Czerniejew skinął głową potakująco, a on mówił dalej:

— Polacy nas nienawidzą, ale póki nas się boją, możemy kpić sobie z całej nienawiści. Pies bity zawsze się łasi — uśmiechnął się — tak samo z Polakiem, sam przyjdzie do nas i będzie całował rękę, która go bije. Zuchwalstwo ich dochodzi do tego stopnia, że w biały dzień mordują policyę i żandarmeryę, nie licząc ajentów i szpiegów. Mnie samego spotkała z ich strony nieprzyjemność — te słowa wywołały spojrzenie porozumiewawcze von Plessena, Krasotina i oberpolicmajstra, znających zajście w hotelu — otrzymałem ostrzeżenie, ażebym zmienił natychmiast sposób postępowania.

Otrzymaliśmy zdaje się wszyscy – mruknął Krasotin.

Spojrzano na Czerniejewa a ten rzekł:

— Nie otrzymałem dotychczas.

— W odpowiedzi na to — chwalił się Gołubiew — ja podwoję moją gorliwość i mojem zdaniem należy obostrzyć i rozszerzyć rozkaz co do wydawania nam broni, a mianowicie: za posiadanie broni, materyałów wybuchowych, kindżałów, odpowiadają w równej mierze wszyscy lokatorowie mieszkania, zwracam bowiem uwagę panów, że cała ludność tutejsza – to jedna banda spiskowców. Tu niema winnych i niewinnych, bo wszyscy, jeśli nie są, to napewno będą naszymi wrogami.

— No, tak... zapewne, że to środek radykalny — mówił von Plessen — ale jest sprzeczny z prawem, bo przecież za nieletnich odpowiadaliby rodzice lub opiekunowie.

Czerniejew wspomniał syna, tak bardzo różniącego się z nim pod względem przekonań. Prawdopodobnie posiada on książki nielegalne, bo skądże czerpałby swe argumenta, więc za syna on sam odpowiadałby przed sądem.

— Projekt pana – zwrócił się do sekretarza — sprzeciwia się elementarnym pojęciom o sprawiedliwości. Nic nie mam przeciwko obostrzeniu kar, ale tylko na winnych przekroczenia.

— Sądziłbym — zaczął Krasotin – że poskutkowałby rozkaz, aby nikt z ludności cywilnej, z wyjątkiem urzędników, nie nosił kastetów, lasek, wogóle czegokolwiek, służyć mogącego do napadów... jeżeli wniosek pana sekretarza uważa ekscelencya za niemożliwy do przyjęcia.

Gołubiew poruszył się niespokojnie, a Czerniejew spytał:

— Czy ma pan jeszcze co do powiedzenia w tej sprawie?

— Proponuję, aby za zniszczenie sklepów monopolowych odpowiali pieniężnie sąsiedzi.

— O ile nie dadzą znać władzy o napadzie – dodał Czerniejew.

— Tak jest — skłonił się sekretarz — i rozszerzając tę odpowiedzialność, może należałoby wydać rozporządzenie, iż w razie napadu świadkowie są obowiązani pomagać czynnie policyi do ujęcia zbrodniarza, w przeciwnym bowiem razie zostają karani za współudział w popełnieniu zbrodni...

— To dobrze pomyślane – pochwalił oberpolicmajster.

Każdy z urzędników ma prawo zarządzenia rewizyi na ulicy lub w lokalach publicznych, o ile zauważy coś podejrzanego, a policya i wojsko ma spełnić rozkaz danego urzędnika.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Czerniejew:

— Chciałbym posłyszeć zdania panów o poruszonych projektach.

Zaczęła się dyskusya dość ożywiona, a każdy z obecnych starał się dowieść swej gorliwości, rozwijając w ostrzejszej formie pomysły Gołubiewa.

Czerniejew przysłuchiwał się dyskusyi chmurny i milczący. Wszystkie te nadzwyczajne zarządzenia budziły w nim niezadowolenie, umożliwiały bowiem niższym i wyższym wykonawcom nadużycie władzy, a nadużycie zamiast uspokojenia ludności tylko ją bardziej rozgoryczy i popchnie do czynów nielegalnych.

Czuł to, jednak wobec jednogłośnych uchwał naczelników, powołanych do utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności, odrzucając wręcz ich żądania.

Natomiast polecił sekretarzowi spisanie szczegółowego protokołu z wymienieniem wnioskodawców i podyktował rezolucyę, aby mieszkańcy oddali broń, nie wychodzili na ulicę z laskami i kastetami; aby świadkowie zamachów tak na osoby, jak i na dobro skarbowe współdziałali z władzą ochronną, że wreszcie urzędnicy policyi mają prawo zarządzenia rewizyi osobistej i naturalnie wymieniono kary za nieposłuszeństwo tym rozporządzeniom.

Posiedzenie miało się skończyć, gdy zadzwoniono przy telefonie, a służący oznajmił, że w sprawie ważnej proszą pułkownika Krasotina do telefonu.

Po chwili wrócił pułkownik i raportował:



Logika zaprosiła obecnych na przekąskę...

— Doniesiono mi, że związek rosyjskich kolejarzy wydał odezwę, wzywającą tak kolejarzy, jakoteż telegrafistów i urzędników poczty do strejku. Dzień ma być później ogłoszony. Odezwę tę rozszerzają i u nas na kolejach w kraju prywislańskim.

Czerniejew stał się bardziej posępnym i powiedział:

— Podobny strejk może mieć bardzo poważne następstwa. To ruina ekonomiczna i rozluźnienie łączności organów państwowych. Wzywam panów do nadzwyczajnej gorliwości i szczególnej uwagi na wszystkich robotników i urzędników kolejowych.

— Mojem zdaniem — rzekł generał Tiszew — ten strejk przy energii władzy nie uda się. Wysłać na każdą stacyę żołnierzy, na główniejsze pod dowództwem oficera, na mniej ważne wystarczy unteroficer i skoro urzędnik nie zechce pełnić służby, oddać go pod sąd. Takie jest moje zdanie...

— A jeśli urzędnik chce pełnić służbę, ale zabrakło palaczy, zwrotniczych, maszynistów, konduktorów, całej niższej służby, cóż poradzi urzędnik przy najlepszych chęciach — mówił von Plessen — mieliśmy przykład tego na kolei warszawsko-wiedeńskiej.

— I na to poradziłoby się — zapalał się Tiszew, — karać bez litości.

— Może i dobry projekt — powiedział łagodząco Krasotin — ale trudny do wykonania, bo ogołocimy miasta z wojska, a tego chcą socyaliści... Należy żandarmom polecić, aby usilnie śledzili za agitatorami i na miejscu ich aresztowali...

— Żandarmi zrobią swoje, ręczę za nich — rzekł von Plessen.

— Panie generale — zwrócił się Czerniejew do Tiszewa — bataliony kolejowe niech będą w pogotowiu na każde zawołanie.

— Stanie się według rozkazu.

— Zdaje mi się, że byłoby z korzyścią – przemówił Gołubiew — aby naczelnicy dyrekcyj kolejowych wydali rozporządzenia, że ktokolwiek będący na służbie kolejowej nie spełni swych obowiązków, traci miejsce nieodwołalnie, bez prawa do jakichkolwiek pretensyi do kolei, a więc zaległej pensyi, emerytury itd.

— Stosowne polecenie do dyrektorów kolejowych wyszle pan jeszcze dzisiaj — rozkazał Czerniejew — a panom powtórnie zalecam wielką uwagę i gorliwość, a gdy spostrzeżecie jakieś wrzenie wśród personalu służby kolejowej, proszę dać mi znać. Nie potrzebuję dodawać, że najpożądańszą rzeczą jest pochwycenie agitatorów; można wyznaczyć nawet osobną nagrodę ajentom i szpiegom — wstał i, pożegnawszy się, wyszedł z pokoju.

— Ot, pięknych czasów dożyliśmy — podkręcił wąsy Tiszew — bunt jest, a buntowników nie schwycisz. Taki robotnik spokojny, bezbronny, niby owca potulny, a rewolucyę robi i co mu poradzisz?

— Czy panu generałowi jeszcze mało tych zabójstw, zamachów, grabieży skarbowych pieniędzy? - mówił Gołubiew ironicznie.

— A gdzie sprawcy? — śmiał się generał — szukaj wiatru w polu. Ot, tchórzliwy naród, zabija chytrze, a w pole nie wyjdzie bić się. To żydowska robota, powiadam wam.

— Żydzi przyczyniają się do zamętu, temu nie przeczę — powiedział von Plessen, ubierając się w płaszcz — ale oni nie stanowią niebezpieczeństwa dla rządu, z nimi zgodnie, czy niezgodnie zawsze poradzimy sobie.

— A cóż waszem zdaniem gorszego? — spytał Tiszew.

— Rozbudzenie mas i uświadomienie ich narodowościowe. Czeka nas bardzo długa i ciężka walka.

— Ta będzie kiedyś — uśmiechnął się Krasotin – a dziś zwalczmy socyalistów, to nasze zadanie.

— Prawda... prawda — przytakiwali i porozmawiawszy czas jakiś, wyszli.

Gołubiew w stosunku swym do Czerniejewa, w poczuciu, że surowy generał miałby mu za złe zajście w hotelu europejskim, odczuwał pewien chłód i był w obawie, że utraci względy, które go wywyższały nad innych i umożliwiały stosunki z najbardziej wpływowemi osobistościami.

Pragnął więc gorąco przysłużyć się czemś Czerniejewowi i wykazać swą gorliwość nietylko w słowach, lecz i w czynach.

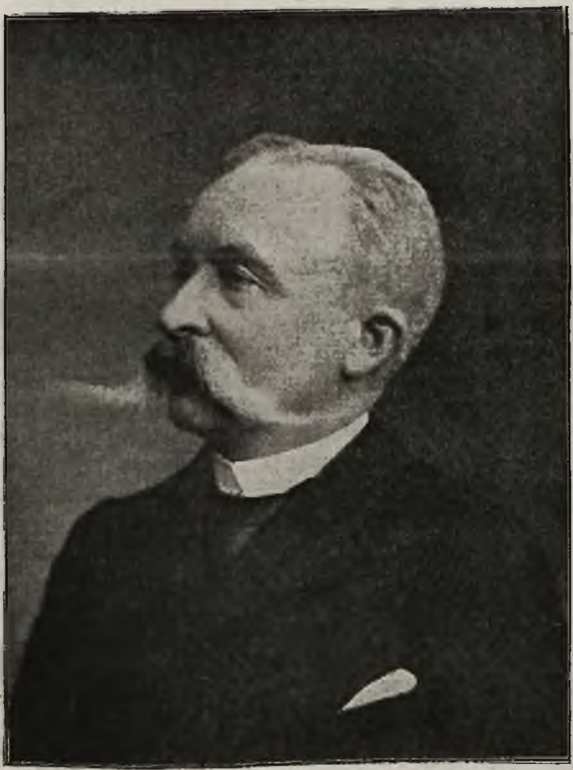
Dzisiejsze posiedzenie, a zwłaszcza wiadomość o zamierzonym strejku kolejowym, poddała mu myśl działania na swoją rękę w celu wyśledzenia agitatorów na kolejach. Rozumował, że skoro socyaliści dążą do wywołania strejku kolejowego, to nie będą się zwracali do urzędników dobrze płatnych, lecz będą podburzali służbę niższą i robotników kolejowych.

Opierając się na tym domyśle, postanowił dziś jeszcze zwerbować jednego, a jeśli się uda, kilku szpiegów. Dzięki swym stosunkom uda mu się łatwo umieścić ich na kolei i przez nich dowie się, kto i jak agituje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć weterana 63-go roku.

Szeregi tych, co w pamiętnym 63-im roku rzucili się w bój rozpaczliwy, aby ratować wolność i honor ojczyzny, przerzedzają się niestety coraz więcej. Pomimo, że jest to objaw naturalny, bo czas ma swe nieubłagane prawa, jednakże trudno oprzeć się uczuciom smutku i żalu, gdy się widzi



Smierć weterana z 63 roku: Śp. Damazy Pobóg Trzciński.

jedną za drugą z tych postaci, otoczonych aureolą bohaterstwa i głębokiego patryotyzmu, schodzącą do grobu.

I znów mamy do zanotowania skon jednego z takich dzielnych bojowców za sprawę ojczystą, a człowieka o charakterze nieskazitelnym, któremu los zawistny nie pozwolił niestety spocząć na ziemi polskiej.

Mianowicie w końcu ubiegłego miesiąca zmarł w Baden pod Zurychem, w Szwajcaryi ś. p. Damazy Pobóg Trzciński ur. 1833 w majątku rodzinnym Kębliny w Kieleckiem. Po ukończeniu szkół wstąpił do wojska rosyjskiego, gdzie czekała go świetna karyera z powodu wyjątkowych zdolności. Skoro jednak wybuchło powstanie styczniowe, ś. p. Damazy nie zawahał się ani na chwilę, porzucił świetne widoki, zrzucił mundur rosyjski i zaciągnął się wszeregi rodaków.

Bił się pod Taczanowskim, Callierem, Czachowskim. Wszędzie odznaczał się szalonem męstwem, roztropnością i karnością, której tak brakowało w szeregach powstańczych. Wytrwał w kraju aż do 1864 roku. Wreszcie skazany na śmierć, uchodzić musiał za granicę.

Naprzód udał się do Drezna, a gdy i tam zaczęto prześladować polskich wychodźców, przeniósł się do Szwajcaryi, tej prawdziwej ostoi emigrantów politycznych całego świata. Ponieważ rząd rosyjski skonfiskował mu majątek rodzinny, przeto śp. Trzciński, pozbawiony wszelkich środków do życia, musiał chwycić się ciężkiej pracy. Dzięki wielkiej wytrwałości i zaletom charakteru wyrobił sobie wkrótce niezależną sytuacyę. W cztery lata po przybyciu do Szwajcaryi ożenił się z panną Senfter d'Affelter i osiadł w Badenie pod Zurychem, gdzie naprzód był kierownikiem, a następnie właścicielem renomowanego zakładu kąpielowego.

Dorobiwszy się znacznej fortuny, był on w możności dopomagania rodakom na obczyźnie, co czynił jak najchętniej, mając szczególniej na oku licznie kształcącą się młodzież polską po zakładach naukowych szwajcarskich. W jednej ze swych willi, nazwanej „Kębliny“, na pamiątkę skonfiskowanego majątku, gromadził koło siebie śp. Damazy liczny zastęp rodaków, którym w rozmaity sposób dopomagał.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Jeszcze wybory: Poseł ks. dr. Michał Żyguliński opuszcza lokal wyborczy po oddaniu głosu

Czucia z krajem nie stracił. Interesowało go do ostatnich chwil wszystko, co działo się w trzech zaborach, a z najwybitniejszymi luminarzami emigracyi, jak pułkownikiem Różyckim w Rapperswylu, Miłkowskim w Genewie i Gałęzowskim w Paryżu, utrzymywał bliższe stosunki przyjacielskie.

Szwajcarzy otaczali wysoką czcią zmarłego, który swym prawym charakterem i wzorowem życiem przynosił honor imieniowi polskiemu, tak często szarpanemu przez nienawistnych za granicą, będąc zarazem do końca życia wzorem człowieka i patryoty.



Fot. aparatem red. W. Lis.

Jeszcze wybory: Lokal wyborczy przed Szkołą im. Brodzińskiego w Tarnowie.



Fot. aparatem redakcyjnym W. L·s.
Jeszcze wybory: Burmistrz tarnowski, dr. Tadeusz Tertil zwiedza jeden z lokalów wyborczych.

Jeszcze wybory.

Na ogół biorąc, epokowe wybory przeprowadzone po raz pierwszy w Austryi na podstawie czteroprzymiotnikowego głosowania, minęły spokojnie, a nawet spokojniej niż przewidywano. Naturalnie, że po dokonanym fakcie jedne partye są bardzo z siebie zadowolone, inne mniej, reszta wreszcie „robi dobrą minę do złej gry“ i nie mogąc ukryć poniesionej klęski, pocieszа się tem, że przyszłe wybory wypadną inaczej. Do nich jednak daleko, a tymczasem wszyscy z wielkiem zaciekawieniem oczekują na zebranie się nowej Izby, która będzie miała tak dalece różną fizyognomię od swej poprzedniczki.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma, podaliśmy szereg ciekawych zdjęć, illustrujących przebieg aktu wyborczego w Krakowie. Dziś zaś podajemy analogiczne zdjęcia, odnoszące się do prowincyi, a mianowicie do wyboru ściślejszego z miasta Tarnowa, jaki odbył się tamże, w dn. 31 maja między bar. Rogerem Bataglią (narodowym demokratą) a dr. Józefem Drobnerem (socyalistą) który to wybór na korzyść pierwszego z nich wypadł.

Udział wyborców w tym wyborze był, jak na stosunki galicyjskie wogóle, a specyalnie na stosunki tarnowskie, olbrzymi. Pomimo tego jednak porządek nigdzie nie został zakłócony, a to głównie dzięki rozumnym zarządzeniom miejscowego burmistrza dra Tadeusza Tertila. Postarał się on mianowicie o dostateczną ilość lokali wyborczych i to tak obszernych, że wszyscy wyborcy mogli oddawać swe głosy bez takiego ścisku i zamętu, jaki na przykład panował w bardzo wielu lokalach wyborczych podczas ostatnich wyborów w Krakowie.

I tem także różniła się fizyognomia wyborów tarnowskich od krakowskich, iż odbyły się bez asystencyi wojska z najeżonymi bagnetami.

Na jednem ze zdjęć widać liczną grupę wyborców i ciekawej publiki, zebraną przed lokalem wyborczym w szkole im. Brodzińskiego. Zauważyć łatwo w tym tłumie, że nowa ustawa wyborcza zmieniła gruntowie wygląd tłumu, biorącego udział w wyborach.

Na innym znów obrazku, doskonale pochwyconym przez naszego redakcyjnego fotografa, oglądamy posła ks. Żygulińskiego, gdy wychodzi z lokalu wyborczego po oddaniu głosu.

Dalej znów widzimy burmistrza, dra Tertila, w chwili, gdy zwiedza jeden z lokalów wyborczych, aby przekonać się naocznie, czy wszystko w porządku.

Bardzo charakterystycznym jest obrazek, na którym uderza przedewszystkiem słup z przybitą tablicą z obwieszczeniem urzędowem, o mających odbyć się wyborach i z drugą mniejszą, noszącą napis: „Rejon neutralny“. Drugi, taki sam słup, znajdował się o 200 kroków dalej a oznaczały one przestrzeń po obu stronach lokalu wyborczego, gdzie rzekomo nie wolno było partyom agitować za swymi kandydatami. Tymczasem zdradziecki aparat fotograficzny pochwycił chwilę, gdy właśnie na tym „rejonie neutralnym“ jeden z agitatorów siedzący w dorożce, obrabia wyborcę i wręcza mu kartę wyborczą z legitymacyą.

Burmistrza, dra Tertila, widzimy jeszcze na innem miejscu, podczas spełniania obowiązków urzędowych, a mianowicie przy wyjściu z lokalu wyborczego, który znajdował się na strażnicy pożarnej.

Ostatnie wreszcie zdjęcie, dokonane na tle wejścia do pięknego ratusza tarnowskiego, illustruje chwilę, gdy komisarz p. Jasieński, kierownik ekspozytury policyi, zdaje sprawę miejscowemu staroście, radcy namiestnictwa, p. Dunajewskiemu, o dokonanym wyborze bar. Battaglii.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Jeszcze wybory: Przed lokalem agitacyjnym przy ulicy Wałowej w Tarnowie.



Jeszcze wybory: Przed lokalem wyborczym na strażnicy pożarnej w Tarnowie. (Fot. W. Lis)

Krwawe wybory w Galicyi.

Pierwsze wybory na zasadzie powszechnego prawa głosowania odbyły się w kraju naszym na ogół spokojnie. Nawet we wschodniej części Galicyi, gdzie z powodu silnie w ostatnich czasach rozbudzonych antagonizmów narodowościowych i agitacyi radykałów ruskich, spodziewano się rozruchów i celem zapobieżenia im wysłano do wszystkich prawie miejsc wyborów asystencyę wojskową oraz wzmocniono posterunki żandarmeryi, krytyczne te dni minęły bez zaburzeń.

Smutny wyjątek pod tym względem stanowi miejscowość górska Horucko, położona w powiecie drohobyckim. Tam mianowicie przyszło w dn. 24 maja, po ogłoszeniu wyniku skrutynium, do krwawego starcia między miejscową ludnością a żandarmeryą, przyczem kilkoro ludzi straciło życie lub odniosło ciężkie rany.

Wedle doniesień z Horucka, zajście to miało następujący przebieg: Oto po przeprowadzeniu obli-

czenia głosów, nad wieczorem, ogłosił przewodniczący komisyi skrutacyjnej, miescowy paroch gr. kat. ks. Skobielski, wynik głosowania. Wynik ten spotkał się z bardzo głośnymi objawami niezadowolenia wśród włościan.



Aparatem redakcyjnym fot W. Lis

Jeszcze wybory: Przed ratuszem komisarz Jasieński zdaje sprawę staroście Dunajewskiemu o przebiegu wyborów

Poczęto się burzyć. A przyczyną tego była okoliczność, że na kandydata staroruskiego, ks. Dawydiaka, padło zdaniem mieszkańców Horucka za mało głosów. Ludność tamtejsza mianowicie należy do stronnictwa staroruskiego, czyli moskalofilskiego i głosowała solidarnie na kandydata tego stronnictwa. Przewodniczącym zaś komisyi był ks. Skobielski, ukrainiec i stąd nieufność. Nie pomogły przedstawienia komisarza wyborczego, ani zapewnienia parocha. Lud rozagitowany i roznamiętniony walką wyborczą, coraz głośniej domagał się unieważnienia głosowania i ponownych wyborów. Nadto wzburzenie ludności zwróciło się przeciw parochowi, ks. Skobielskiemu, pod którego adresem rozległy się dzikie okrzyki: „rozerwać go na sztuki“. Sytuacya stawała się coraz bardziej naprężoną. Ludność otoczyła lokal wyborczy, mieszczący się w urzędzie gminnym, zwartem kołem i obrzuciła członków komisyi oraz żandarmeryę gradem kamieni. Z brzękiem wyleciały wszystkie szyby, zagasły lampy i zapanowała ciemność.

Wystąpili żandarmi, wzywając ludność do rozejścia się i spokoju, bez skutku jednak. Kamienie sypały się dalej, przyczem trzech żandarmów odniosło obrażenia. Wobec tego komendant posterunku wydał rozkaz strzelania.

W tej chwili rozległ się doniosły odgłos salwy a równocześnie błyskawica ognia rozjaśniła na moment panujące ciemności. Wśród tłumu zapanowało przerażenie. Nikt się jednak nie cofał. I znowu padło kilka kamieni. Wobec tego wydano ponowny rozkaz strzelania. Salwa tym razem była skuteczniejszą. Padło czworo ludzi bez życia, a dziewięcioro odniosło ciężkie rany. Są zapewne i lżej ranni, tych jednak tłum uprowadził i ukrył. Po drugiej salwie tłum wśród wrzasków i okrzyków przerażenia rozprószył się.

Sytuacya w Horucku przez dłuższy jeszcze czas po wyborach była bardzo naprężoną i dla ochrony życia parocha Skobielskiego, któremu ludność ostro się odgrażała, przebywał tam oddział kawaleryi i 25 żandarmów.

Pogrzeb ofiar krwawego zajścia odbył się w niedzielę dn. 26 maja. Nieprzejrzane tłumy ludności miejscowej i z okolicy zgromadziły się w Horucku, by odprowadzić zwłoki zabitych na miejsce wiecznego spoczynku. Z powodu zakazu władz nie wygłoszono wcale mów pogrzebowych, a cała manifestacya żałobna miała przebieg bardzo spokojny.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg zdjęć z Horucka. Jedno z nich przedstawia miejsce krwawego zajścia: plac przed urzędem gminnym, gdzie odbywało się głosowanie. Obok grupa żandarmów, którzy strzelali do tłumu. Na rycinie drugiej widzimy jedną z ofiar, złożoną na katafalku. Na trzeciej troje ludzi obandażowanych, z powodu odniesienia ciężkich ran podczas krwawego starcia. Rycina czwarta wreszcie przedstawia pochód pogrzebowy, w niedzielę dn. 26 maja.

Wytrwały żołnierz.

Ciężką jest służba wojskowa — wiemy o tem dobrze wszyscy, którym było danem odbywać „wojnę w czasie pokoju“. Ale należy już do prawdziwych osobliwości, aby ją przez przeszło pół wieku dźwigać na swych barkach i to nie zawsze w pokojowych czasach. Od dawna już stwierdzonym



Zmarnowana egzystencya: Hr. J. Grabowski, b. oficer huzarów grodzieńskich.

jest pewnikiem, że tylko ludzie o bardzo silnych nerwach są w możności wytrzymania tego nieustannego naprężenia nerwów, jakie wywołuje za sobą odpowiedzialna służba wojskowa. A jeżeli kto, to długo służący podoficer, na którym właści-



Krwawe wybory w Galicyi: Urząd gminny w Horucku, w którym był lokal wyborczy, oraz plac gdzie rozegrały się krwawe wypadki Obok oddział żandarmów.



Krwawe wybory w Galicyi: Troje mieszkańców Horucka, którzy odnieśli ciężkie rany podczas krwawego starcia z żandarmeryą.



Wytrwały żołnierz: Jan Pekar, fajerwerker, który służy przeszło 50 lat w wojsku.

wie spoczywa cały porządek wojskowości, odczuwa na sobie cały ciężar odpowiedzialności, jaka na nim cięży. Gdy zaś zdarzy się tego rodzaju człowiek, który umiał przez przeszło pół wieku odpowiedzieć swoim obowiązkom ku zadowoleniu swoich bezpośrednich przełożonych i naczelnego wodza — to wypada jego pamięć utrwalić.

Takim wyjątkowym właśnie podoficerem jest fajerwerker artyleryi fortecznej w Przemyślu Jan Pekar, obecnie najstarszy podoficer armii austryacko-węgierskiej, którego podobiznę dzisiaj podajemy.

Potworny zamach.

Polska przez cały przeciąg wieków odznaczała się tem, że szanowała ludzi, co stali na czele narodu. W naszej historyi nie spotyka się zbrodniarzy, którzyby sięgali po życie najwybitniejszych przedstawicieli zasad, jakiemi kierowano się u nas, bo zawsze uznawano dobrą wolę przodowników.

Tem przykrzej też przychodzi nam zanotować fakt zbrodniczego napadu, dokonanego na lubelskiego księdza biskupa Franciszka Jaczewskiego, który jako pasterz powierzonej sobie owczarni i jako człowiek, zasłużył na powszechną cześć i uznanie. W tych czasach, gdy rząd rosyjski najgwałtowniej prześladował katolicyzm, ks. biskup Jaczewski, w którego dyecezyi żyje *nb.* mnóstwo unitów, okazywał się zawsze jako mąż, który dorósł do swego stanowiska. To wystarcza!

Urodzony w roku 1832, dostojny pasterz ukończył Akademię duchowną w Warszawie i został księdzem w roku 1855-ym. Odznaczał się zawsze ewangieliczną prostotą i dobrocią serca. Jego uczniowie z seminaryum janowskiego, gdzie wykładał pismo święte, ludzie już także niemłodzi — wspominają go serdecznie.

Objąwszy po śp. biskupie Wnorowskim dyecezyę, znalazł się ks. biskup Jaczewski w bardzo trudnych warunkach. Dzięki jednak wrodzonej sile woli — przetrwał je, a nawet doprowadził do tego, że właśnie za jego rządów mnóstwo unitów, zmuszonych do wyznawania schyzmy, przeszło na łono Kościoła katolickiego.

I taki to właśnie mąż padł ofiarą zbrodniczego zamachu w dniu 30 maja b. r., dokonanego przez jednego z tych obłąkanych, którzy w Kongresówce noszą nazwę Maryawitów.

Sam zamach przedstawia się, jak natępuje.

Ks. biskup Jaczewski w dniu krytycznym szedł ze swojej rezydencyi, oddalonej zaledwie kilkadziesiąt kroków od Katedry, w towarzystwie księży: Ziółkowskiego i Kościelniakowskiego. Wtem podszedł ku niemu szybkim krokiem jakiś młody mężczyzna. Ksiądz biskup, przyzwyczajony do tego, że go witano przyjaźnie ile razy pokazał się na ulicy, podał mu rękę do pocałowania. Tymczasem ów mężczyzna wyciągnął rewolwer. Mordercze narzędzie jednak nie wypaliło, a ks. Ziółkowski uderzył zbrodniarza w rękę. Rewolwer upadł na ziemię... Maryawita wydobył wtedy sztylet i uderzył nim księdza biskupa. Dzięki jednak przytomności umysłu ks. Kościelniakowskiego, który chwycił wpół zbrodniarza, uderzenie, skierowane w serce, trafiło tylko w rękę ofiary...

W niespełna półtorej godziny ujęto sprawcę zamachu. Nazywa się on Paweł Zalewski. Jest to malarz bez zajęcia, podobno były kleryk, a oczywiście człowiek, który na punkcie sekciarsko-religijnem dostał pomięszania zmysłów — jakiż bowiem powód mógł poddać mu myśl tego wstrętnego zamachu?..

Całe Królestwie Polskie wzruszone zostało do głębi tym potwornym zamachem na czcigodnego pasterza, którego portret podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma. Do innych gratulacyj, wystosowanych w imieniu oburzonego społeczeństwa z powodu nieudałego zamachu — przyłączamy i my także nasze: *Ad multos annos!*



Krwawe wybory w Galicyi: Zwłoki jednego z zabitych podczas rozruchów w Horucku.



Krwawe wybory w Galicyi Fragment z pochodu porzebowego ofiar krwawych rozruchów wyborczych w Horucku.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a,** byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

9 (Ciąg dalszy).

Były służący dyrektora Bartmanna czekał już na nich w l'Alhambre przy wejściu.

Opowiedział z widocznem zadowoleniem kilkanaście interesujących szczegółów o domu bankierskim Bartmanna et C-o, a zapytany o ową młodą kobietę, zatrzymał się, jakby sobie coś przypominał.

Szło to z wielką trudnością; mózg pod wpływem pokaźnej ilości wypitych kieliszków wódki i wina, pracował opieszale.

Nareszcie przypomniał sobie cośkolwiek... oto jeden ze szczegółów:

Piétrement był, jakeśmy już wspomnieli, służącym dyrektora Bartmanna. Zauważył usługując, że Bélac kilkakrotnie jadł obiad sam na sam z jego panem. Rozmawiali po francusku. Bartmann sądził, że on nie rozumie tego języka, mówił więc ze swoim gościem o polityce, o zdarzeniach aktualnych, o teatrze. Przy końcu obfitego obiadu, oblanego dobrem winem, Bélac żalił się regularnie na pewną brunetkę, „swoją brunetkę“, jak ją nazywał. Opowiadał, że zupełnie zimno przyjmowała dowody jego niezwykłej miłości...

Jednego dnia Bartmann, zniecierpliwiony temi skargami, a może też chcąc dać dobrą radę swojemu gościowi, zawołał:

— Ale czemuż u dyabła nie żenisz się pan z tą swoją Belgijką z Brukseli, jeżeli panu tak na niej zależy? Któż panu broni zakończyć raz tę komedyę?

Piétrement nic więcej nie wiedział.

To było na razie wystarczające. „Jego Belgijka!“ Nie było z czego cieszyć się nadzwyczajnie, ale zawsze było to znalezienie nici przewodniej, pewien ślad, po którym już dalej iść było można. Otaczająca ich dotychczas noc ciemna zaczęła się rozjaśniać.

Nazajutrz rano pan Cardec z Jaminotem siedzieli już w wagonie. Zmęczeni podróżą statkiem i koleją, nie zmrużywszy oka przez całą noc, przebiegali już nad ranem ulice Brukseli.

Pan Cardec pomimo zmęczenia był wesoły i pełen nadziei.

A więc podróż ich nie okaże się bezowocną... Teraz na ślad kobiety natrafić muszą...

ROZDZIAŁ IX.

Po nitce do kłębka.

Pan Noileau utrzymywał, że najważniejszą rzeczą, mogącą go wyprowadzić z tego tajemniczego labiryntu, było odkrycie, jakie stosunki łączyły oskarżonego Germonpré'a z jego ofiarami. W tem szukać trzeba było związku i powodu zbrodni. I podczas, gdy odbyto rewizyę u Bélaca finansisty, drugie drobiazgowe śledztwo było w toku w Châlons, w mieszkaniu Germonpré'a, wśród jego przyjaciół i znajomych.

I tym razem poszukiwania nie przyniosły nic upragnionego. Nie odnaleziono żadnych śladów, aby oskarżony był związany jakimkolwiek stosunkiem z zamordowanym Bélac'em, nic takiego, coby mogło zrodzić przypuszczenie, że zbrodnia była już z dawna uplanowaną.

Trudno było przypuścić, żeby przewidujący morderca usunął przed udaniem się do Paryża wszelkie ślady kompromitujące i mogące go zdradzić. Chyba nie mógł przypuścić, że jeszcze tego samego dnia uwięziony zostanie i odstawiony do Dépot. Przypuszczenie takie było zupełnie wykluczone.

Zbrodnia spełnioną została nagle, nieprzewidzianie, pod wpływem nieoczekiwanego spotkania i silnego podniecenia, może kłótni. To było prawdopodobniejsze.

Naturalnie. Spotkanie musiało być nieprzewidziane, gdyż w innym wypadku Germónpré byłby poszedł na ulicę St. Martin do mieszkania Bélaca. Nie mógł wiedzieć, że tenże od bardzo niedawna wynajął drugie mieszkanie i to pod fałszywem nazwiskiem.

Teraz zachodziło pytanie, do czego Bélac potrzebował drugiego mieszkania i dlaczego ukrywał się w niem. Jakie to wszystko było skomplikowane i niejasne!

Noileau zniecierpliwiony zwrócił przypuszczenie w stronę starego lichwiarza Mathissena, lecz bez wielkiej nadziei, przez zwykły obowiązek sumienia, dla własnego wewnętrznego zadowolenia.

Znał on dawno tego przemysłowca, jeszcze z czasów swoich studenckich, a potem jako urzędnik sądowy, zmuszony był wtajemniczyć się w ciemne sprawy lichwiarza.

I w tym to właśnie czasie stary zmarł w więzieniu w Maras, pozostawiając wdowę. Czy żyła ona jeszcze? Trzeba było się przekonać. Poszukiwania okazały się długie i męczące, lecz odniosły skutek.

Stara Mathissen wyprowadziła się z ostatniego mieszkania, nie pozostawiwszy adresu; z wielką też trudnością odkryto ją w nędznej uliczce Grand Montrouge, gdzie ukrywała się pod swojem „panieńskiem“ nazwiskiem, jakie przybrała po nieszczęściach jej zacnego męża.

Była to wyschła staruszka, zgarbiona, o nosie i brodzie stykających się prawie z sobą, mówiąca drżącym, trzęsącym głosem. Przyprowadzona przed pana Noileau, wydawała się silnie wzruszona i wystraszona, czego się nawet nie starała ukrywać. Na twarzy jej pomarszczonej i żółtej widniały ślady dawnego, burzliwego życia.

Była głucha, jak pień; nie słuchając, co do niej mówiono, odrazu zaczęła jęczeć przeraźliwie, wzywając do pomocy Izaaka, Jakóba i Abrahama w asystencyi wszystkich proroków z raju. Ustała lamentować dopiero wtedy, kiedy jej zupełnie tchu brakło.

Wtedy dopiero oprzytomniała trochę i wodząc dokoła wystraszonemi, pobladłemi oczami, zdawała się pojmować cokolwiek, o co ją sędzia śledczy, trąbiąc jej już mocno zachrypnięty do ucha, zapytywał.

Przysięgła na swoje życie, na zbawienie wieczne duszy, że nie wiedziała nic o sprawach męża, ani też nie znała i nie widziała żadnej osoby, mającej z nim jakie interesa.

Objaśnienie to było okropne. Tyle trudów zmarnowanych! Nie było więc potrzeby wspominać jej o Bélacu. Zapewne także i o nim nic nie wiedziała.

Ale po chwili odpoczynku, którego wyczerpany krzykiem Noileau bardzo potrzebował, zdecydował się on zapytać starą jeszcze o finansistę. Jakież było jego zdziwienie, gdy starowina, usłyszawszy to nazwisko, zmieniając nagle swój płaczliwy głos, zawołała wściekła, wygrażając komuś pięściami:

— Ah, ten łotr! ten kajdaniarz! Oh, ten nam się przysłużył, wisielec! mnie i mojemu biednemu Ezechielowi! Żeby go wszystkie...

— Cicho, matka! uspokójcie się! Uważajcie, dobrzeście usłyszeli, że to o Bélaca chodzi? o Bélaca? — trąbił jej do ucha Noileau.

— Tak, tak!... Wiem dobrze. Andrzej Bélac. Ten łajdak zatracony! ten zbój! Żebym go tak teraz w ręce miała, to — za pozwoleniem pana — poznałby zemstę matki Mathissen.

— No. no! spokojnie! spokojnie! proszę się uspokoić i nie wyrabiać mi tu krzyków!

— Uspokoić się? A to dobre! Łatwo powiedzieć! Taki obdartus, włóczykij, którego mój mąż z drogi gdzieś gnijącego zabrał, ubrał, odżywił i zrobił swoim urzędnikiem. A jakże! zrobił urzędnikiem!

— Ah! tak?

— A zepsuty kanalia do kości! Przebiegły jak lis! Ho, ho! Ładnie oszukiwał Ezechiela, proszę pana. A pewny siebie był łotrzyk! Ja tam nie wiem, co między nimi było, pamiętam tylko, że mój stary czegoś się go strasznie bał. Narzekał na niego, czasem i klął, i buntował się, ale zawsze się bał. O bodaj by go choroba! A wie pan co jeszcze? Ci obaj zatraceńcy szli sobie razem na dziewczęta! A jakże! O, co ja się wstydu najadłam! Ten łapserdak mógł sobie chodzić gdzie chciał, ale czego mi i mego wyciągał na rozpusty! Oni sobie szli, a ja zostawałam wieczór i często w nocy samiuteńka, drżąc ze strachu i złości. To ten szubrawiec zgotował mi to życie, które teraz prowadzę. Z jego to łaski, psisyna, Mathissenowa na stare lata nie ma porządnego kąta i kryć się musi przed ludźmi! A, żeby go...

— Długo też mieszkał u pani?

— A mieszkał aż do dnia, kiedy po raz pierwszy uwięziono mojego biednego męża. Będzie temu lat z piętnaście... Wtedy zaraz się wyniósł!... Ja to spostrzegłam i odrazu mi się to nie podobało!

— A potem?

— A potem to już u nas nie mieszkał. Ten to był kuty na cztery nogi, a zuchwały, jak sam Lucyper!

— No i w czemże tak?

— W czem? A we wszystkiem. Kradł otwarcie na rachunek każdego, ani się łajdak nie zawahał! I zawsze umiał się wygrzebać i oczyścić! A jak się umiał ułożyć! On i Ezechiela potrafił w biały dzień okraść i oszukać. Nieraz słyszałam, jak mówił, zabierając mu jakieś listy, pokwitowania: „To ci się już na nic nie przyda, bo to już zapłacone! Ty się na tem nie rozumiesz, boś ze starej jeszcze szkoły. Ja co innego. Ja jestem człowiek postępowy i umiem prowadzić interesa. Takie drobne papierki, listy, mogą nam być jeszcze kiedy użyteczne. A lepiej je usunąć, bo i zdradzić nas mogą. Nie wiadomo nigdy, co się stać może“. No i Ezechiel, który się mniej na tem wszystkiem rozumiał, pozwalał mu robić, co chciał. A choćby nie pozwolił, to i tak na niczby się nie zdało. On tu był prawdziwym panem! A dlaczego? Mój Boże, dlaczego?

Wyczerpana tym wybuchem stara, umilkła osłabiona i opadła na krzesło, lamentując i poruszając miarowo głową, jak wahadłem.

Pan Noileau nie patrzał już na nią; wiedział dosyć. Z brodą opartą na ręku, pogrążył się w głębokiej zadumie.

. . . .

Dzień za dniem upływał i pomimo niezwykłej gorliwości i pośpiechu urzędników sądowych oraz szczerej chęci zakończenia sprawy, niewinność czy też wina oskarżonego Germonpré'a nie została stwierdzona.

Oprócz dokładnych objaśnień o Bélacu, które w niczem nie rozświetlały przebiegu dramatu, pan Noileau miał w rękach jeszcze jeden fakt nie podlegający wątpliwości, a który nasunął się mu na myśl po rozmowie ze starą Mathissen. Była to możliwość, że oskarżony rzeczywiście nie znał Bélaca i nie miał z nim żadnych interesów. A więc ktoś inny zamordował finansistę. Było to możebne, ale bardzo zagmatwane, nieprawdopodobne i romantyczne.

Wobec tego nić, którą już miano w rękach, zrywała się niespodzianie. I znowu trzeba było prowadzić śledztwo i poszukiwania w innym kierunku. Ale pan Noileau był już zupełnie wyczerpany!

Jedyny człowiek, który mógł coś powiedzieć i objaśnić, nie żył, bo widocznem było teraz, że Germonpré znalazł się przypadkowo tylko w willi... Opowiadanie o romantycznej jego przygodzie z młodą, nieznaną mu kobietą, nabierało prawdopodobieństwa. Czyżby Germonpré naprawdę padł ofiarą okropnej pomyłki, lub szantażu?

Zostało również zbadanem, że oboje zamordowani nie byli nigdy zasądzeni i nie odsiadywali żadnej kary sądowej. Sekcya medyczna wykazała również, że kobieta nie cierpiała nigdy na złośliwą nieuleczalną chorobę, ani też nie była nigdy matką.

Mogła mieć lat 22 lub 23 najwyżej. Oboje zamordowani należeli do ludzi silnie i dobrze zbudowanych.

Wiadomości te były bardzo cenne, ale na razie nie posłużyły do niczego.

Nie wpływało to w niczem na polepszenie sprawy Germonpré'a. Oprócz adwokata, ktory się podjął obrony i zarzucał go nieustającemi pytaniami, pragnąc wywołać przymusowe jakieś wyznanie „w jego własnym interesie“, nikt oskarżonego nie odwiedzał, ani z nim nie korespondował.

Germonpré nie rozpaczał. Był to charakter silny, wytrzymały i uparty; osłabiony jednak brakiem ruchu, powietrza, złem pożywieniem, a przedewszystkiem zdenerwowany własnemi myślami, chwilami tracił przytomność. Obawiał się o swój rozum i nieraz w nocy dochodził do takiego podniecenia, że zapytywał sam siebie, czy naprawdę nie popełnił zbrodni pod wpływem jakiegoś odurzającego narkotyku!

Pan Noileau wzywał go dość często do swojej kancelaryi. Naprożno! Obracano się niezmiennie w błędnem kole, z którego wyjście było niemożliwe. Raz nawet Germonpré zgorzkniały, zuchwały, posunął się do wysokiej impertynencyi względem sędziego. Wywołał burzę. Pan Noileau ostremi słowami przywołał go do porządku, grożąc mu pozbawieniem wszelkich względów, jakie dotąd miał dla niego i przystosowaniem najostrzejszych środków.

Miało to znaczyć, że będzie traktowany jak zwykły przestępca, zbrodniarz, do którego nie mówi się „panie“, lecz numer taki a taki, lub „oskarżony“ i że założą mu kajdanki.

Germonpré uspokoił się natychmiast i przepro-

sił sędziego. Zapytany, czy Bélac nie pisał do niego kiedykolwiek, chcąc go wciągnąć w jaki szantaż, na podstawie jego listów, odpowiedział niezmiennie, że nie znał nigdy Bélaca, nawet o nim nie słyszał.

Jakim więc sposobem te listy Germonpré'a znalazły się w rękach Bélaca i dlaczego, skoro je miał, ten ostatni nie uczynił z nich zwykle praktykowanego użytku?

Albo Bélac nie miał sposobności ku temu, albo też uważał to za rzecz małej wagi, która mu większej nie przyniesie korzyści. albo też mógł zupełnie o tych listach, wykradzionych staremu lichwiarzowi Mathissen, zapomnieć. A jeśli Bélac praktykował podobne szantaże listowe i wymuszanie z innymi klientami, łatwo było można przypuścić, że nie pozostawił u siebie w domu śladów, mogących go zdradzić. A trudno również przypuścić, aby osoba poszkodowana przyszła się pochwalić ze swej naiwności i lekkomyślności! Gdzie ich szukać teraz? O, takie rzeczy same do rąk nie przychodziły przecież! Trzeba było za niemi dobrze szperać i szukać!

. . . .

Wyprawa do Brukseli przyniosła jedynie rozczarowanie kompletne, zawód i ogólną przegranę... Miejscowa policya nie mogła dopomódz przybyszom do odnalezienia śladu kobiety o czarnych włosach... Przeszukano klasztory, pensyonaty. instytucye, w mieście i na prowincyi.

Porozsyłano wszędzie fotografie młodej kobiety, ale nikt się nie zgłosił z doniesieniem.

Pan Cardec, który nie mógł przedłużać swojej bytności po za granicami Francyi i którego wzywały inne. również ważne sprawy, pozostawił Jaminot'owi obowiązek dalszego poszukiwania, sam zaś rozczarowany i zły powrócił do Paryża.

Na głowę ajenta spadło teraz to niewdzięczne i pełne przeciwności śledztwo! Jaminot był wściekły! Stracił apetyt — schudł niemożliwie, ale z zażartym uporem postanowił pracować dalej w tym samym kierunku. Postanowił, choćby miał to zdrowiem przypłacić — wykryć tę djabelską tajemnicę! Jaminot był ambitnym i podrażniona jego miłość własna teraz w grę wchodziła! Cóż do licha! Przecież już zęby zjadł na swoim posterunku, dopomógł do zamknięcia i ukarania tylu zbrodniarzy, złodziei i włóczęgów.—no i teraz nie dałby rady tej sprawie — cóż znowu! Jaminot wierzył w swoje siły! Widząc, że wszystkie obmyślane i przewidywane plany zawodziły, ajent zdał się na los szczęścia — liczył na szczęśliwy wypadek. Potrzeba było tylko do tego wytrwałości i sprytu, aby w lot chwycić nadarzającą się sposobność. Przeszukał najwstrętniejsze spelunki i nory — domy publiczne, kawiarnie nocne i prywatne mieszkania dam z półświatka.

Któż to mógł wiedzieć! Ponieważ nikt szukanej kobiety nie widział w miejscach publicznych, mogła się była dobrze ukrywać w prywatnem mieszkaniu.

Jaminota doprowadzała do wściekłości ostateczna myśl. że może już nieraz przechodził tuż koło celu pożądanego, nie wiedząc o nim, nie przeczuwając go nawet! To było okropne, i mogło najporządniejszego i najspokojniejszego człowieka przyprowadzić do utraty rozumu. Były służący starego Bartmanna musiał przecież powiedzieć prawdę. W jakimże by celu kłamał!

Pewnego popołudnia, Jaminot korzystając z pięknego pogodnego dnia, poszedł na przechadzkę do parku. Usiadł na ławeczce w słońcu i bawił się oglądaniem przechodzących osób, starając się uchwycić urywki rozmowy. W swojej gorliwości zacny Jaminot liczył, że może który z przechodniów, tknięty przeczuciem, za sprawą Opatrzności, bezwiednie da mu pożądane objaśnienie, tak gorąco poszukiwane. Lecz po godzinnem oczekiwaniu Jaminot zmarzł do kości, bo choć dzień był pogodny, wiał zimny i ostry wiatr. Podniósł się więc zły, mrucząc i przeklinając.

— Jak tak dalej pójdzie — mówił — zostanę idyotą albo najprawdopodobniej wścieknię się. Ładna perspektywa! A wcale nie mam ochoty chorować i to w tym właśnie sensie! Do wszystkich szatanów! Co to się dzieje! A możeby tak pójść napić się czegoś, rozgrzeje mnie to i rozjaśni myśli. No, chodźmy!

Wyszedł z ogrodu i poszedł na róg ulicy Loi, gdzie mieściła się restauracya na pozór dość przyzwoicie, choć skromnie wyglądająca. Wszedł, usiadł przy pierwszym lepszym stole i kazał sobie podać wódki jałowcowej. Ale zaledwie przełknął, gdy wstrząsnął się jakby tknięty prądem elektrycznym.

Tuż obok niego siedziało dwóch ludzi, wyglądających na pierwszy rzut oka na drobnych urzędników. Popijali coś i rozmawiali, oglądając pismo illustrowane w kolorowanych reprodukcyach.

— To jest źle zrobione - mówił jeden z nich — ale to ciekawe, jak ten Bélac przypomina mi tego człowieka, który przychodził czasem do naszego biura.

— Jakiego człowieka?



Tuż obok niego siedziało dwóch ludzi.

— Nie wiem, jak się nazywał. bo przyznam się mało mnie to obchodziło. Jakiś szczególny typ. Wyglądał na jakieś podejrzane indywidum. Nie mówiono nigdy o nim w biurze.

— Znałeś go dobrze?

— Dobrze nie, ale dosyć, aby go zapamiętać i poznać.

— Aha, już wiem, o co chodzi. To ten, który napastował twój ideał, tę piękną nauczycielkę, dla której straciłeś głowę.

— I tracę jeszcze niestety, więcej niż kiedykolwiek.

— No i cóż ci z tego przyjdzie?

— Mój drogi, choćbym sobie codziennie to powtarzał, to nic nie wpłynie na zmianę moich uczuć. Takiemi rzeczami nie rozporządza się na rozkaz...

— A więc tyś z nią nic nie mówił... nie zdradziłeś się ze swoją miłością... platoniczną... Ani razu?

— Ani razu! Po co? Czyż mogę jej ofiarować jaką stałą pozycyę?

— A choćby! Gdyby tak człowiek chciał się zawsze rozumem kierować i zastanawiać, życie stałoby się niemożliwem.

— Phi! każdy ma swoje przekonania.

— Więc ty bawiłeś się w skrytego wielbiciela? i pocieszałeś się, zazdroszcząc temu staremu dziadowi, tej małpie.

— Zazdrosny właściwie nie byłem. Nie przypuszczałem nigdy ani przez chwilę, żeby panna Janina mogła go zachęcać lub nawet wysłuchać, pomimo, iż był bogaty i jestem pewny, że się nie mylę, ale czułem do tego człowieka podwójną odrazę...

— Co?

— Nasz pryncypał wspólny, to jest panny Janiny i mój, był bardzo dobrym człowiekiem, łagodnym, wspaniałomyślnym i pracowitym. Ale nikt mi tego nie wyperswaduje, że nie prowadził jakichś podejrzanych interesów lub też, że kiedyś musiał uczynić coś nieczystego, bo zauważyłem, że ten Belac, a przypuszczam, że to jest ten- sam człowiek z illustracyi, miał go w ręce i nadużywał tego. To biło w oczy. I przez to ten człowiek stał mi się podwójnie niesympatycznym... Ale to zresztą mnie nie obchodzi, nie moja to sprawa! Posłuchaj mnie, czy mogę żenić się, mając wszystkiego 150 fr. miesięcznej pensyi?

— Ah, więc znowu powracasz do niej?

— I których, zdaje się, nie będę już otrzymywał po zlikwidowaniu banku.

— Możesz poszukać innej posady, a znajdziesz z pewnością lepszą.

— Tak się to łatwo mówi... Wiem, że znowu nazwiesz mnie szaleńcem.

— Szaleńcem nie, tylko zakochanym, a to jedno do drugiego podobne.

— Słuchaj: wiesz, ona znikła na krótki czas przed tą okropną zbrodnią, której dokonano w Paryżu... Jestem bardzo o nią niespokojny!... oka- w nocy zamknąć nie mogę... chodzę, jak otumaniony...

— No, no, uspokój się! Trzeba na siebie uważać. To ważne!

— Bo pomyśl tylko mój kochany: zamordowano właśnie tego człowieka, którego ja identyfikuję z tym Bélacem.

— Cóż z tego? Możesz być spokojny, że nie tylko jego w tym czasie zamordowano. Swiat jest wielki!

— Przyznaję... Ale ta nieznajoma kobieta, wysoka, brunetka, znaleziona przy nim?

— Czy jedna brunetka jest na świecie?

— Pamiętaj, że oni się znali.

— Ej, dajże mi spokój z twojemi niedorzecznemi przypuszczeniami. Może powiesz, że to jej portret jest umieszczony w tym piśmie illustrowanem? Do tej fotografii podobną być może każda kobieta, nawet moja stara gospodyni, która wygląda jak sama żona dyabła!

— Ej, daj pokój! Wierzaj mi, że coś mi ją przypomina. Ale trudno mi w to uwierzyć. Poprostu nie chcę w to wierzyć! To byłoby zanadto strasznem!

— Do dyabła, to jasne! Jesteś zakochany jak kot i wszędzie ją masz przed oczami. Ja także miałem różne miłosne przygody, mniej lub więcej poważne, ale nigdy nie byłem do tego stopnia zaślepiony, jak ty. Co to? już druga godzina? Czas na nas. Każdy do swojego biura. Pracuj wytrwale i nie nabijaj sobie głowy podobnemi myślami.

Jaminot zerwał się. O mało nie krzyczał z radości. Wielki pomocnik i protektor sprawiedliwości, nieoczekiwany, przypadek, przyszedł mu z pomocą. I przedstawiając sobie, że jemu osobiście przypadnie uznanie za to odkrycie niespodziewane, Jaminot z miną spokojnego fabrykanta szedł drobnym krokiem przed przyjaciółmi, przysłuchując się dalej ich rozmowie.

— Patrz, widzisz tam służącego oczekującego na nasz powrót?—zawołał nieszczęśliwy kochanek pięknej nauczycielki Janiny — Śledzi mnie, tak jak gdyby go to obchodziło cokolwiek i jakby mi chciał powiedzieć, że się spóźniłem. Dziwna mania! Ale nie czuję do niego urazy! — on również nie znosił tego ptaszka, który mu tyle krwi napsuł. Jestem nawet przekonany, że on o wiele więcej wie o nim, niż ja sam! Wieczorem się zobaczymy!

— Naturalnie bądź zdrów!

Rozeszli się. Młody urzędnik zatrzymał się na ulicy, tuż przed prywatnym domem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Szkoła anarchistów.

Walka, jaką teraz podjęły stronnictwa rewolucyjne w Rosyi, musiała wywołać pewien system postępowania z ich strony. Widzimy tedy doskonale zorganizowane partye bojowe, zaopatrzone w broń niemiecką i odpowiednią amunicyę, masy browningów, które można nabyć w Rosyi taniej, niż gdzieindziej, oraz bomby sfabrykowane znakomicie.

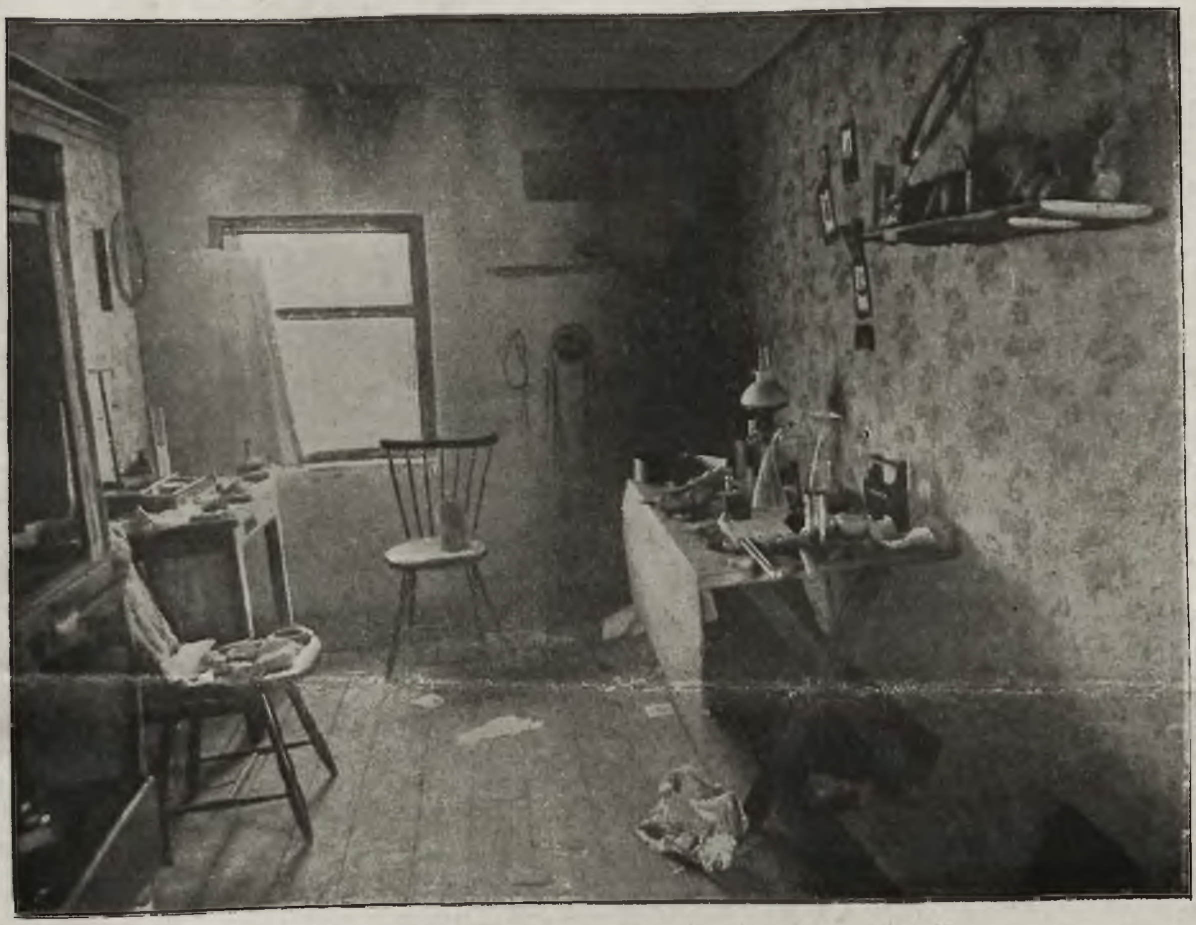
Dla Europy było poniekąd zagadką, gdzie anarchiści rosyjscy nauczyli się tak świetnie fabrykować bomby. Rozjaśniła się ona teraz, gdy wykryto przypadkiem w Finlandyi, tuż nad granicą rosyjską, w miejscowości zwanej Kuakkolo. formalną szkołę fabrykacyi bomb, założoną przez rosyjskich rewolucyonistów, skłaniających się do anarchii.

Zdjęcia, jakie podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma, są bardzo interesujące.

I tak, ktoby przypuścił, że w tym domku finlandzkim, który tak mocno przypomina nasze polskie dworki wiejskie, mieści się warstat, gdzie wyrabiane są tak straszne, śmiercionośne narzędzia. Albo wnętrze pokoju, na drugiem zdjęciu, czyż nie czyni ono wrażenia pokoju jakiegoś młodego ucznia chemii, który w domu czyni próby doświadczalne nad tem, czego uczył się w szkole?... Tymczasem jestto piekielna kuchnia, gdzie gotuje się śmierć setkom ludzi winnych i niewinnych.



Szkoła anarchistów: Domek w Kuokkoli w Finlandyi, gdzie uczono się wyrabiać bomby.



Szkoła anarchistów: Wnętrze pokoju, w którym napełniano bomby i odbywano odnośne wykłady.

Jak zaś wyglądają wypełnione solami kwasu azotowodorowego bomby, widzimy na trzeciem zdjęciu, gdzie ustawione są, po wyjęciu z kosza na bieliznę, w którym je przechowywano. Te niewinne na pozór pudełka blaszane, były już nieraz przyczyną fatalnych skutków, jakie można było obserwować np. na wybuchu spowodowanym przez rewolucyonistów w willi prezydenta ministrów rosyjskich Stołypina.

Władze finlandzkie, aresztując mieszkańców niepozornego domku, oddały własnym poddanym wielką usługę. Pokazało się bowiem, że nie Finlandczycy, lecz rodowici Rosyanie pobierali naukę w tej szkole anarchizmu, gdzie uczyli się praktycznie jak należy się obchodzić z materyałami wybuchowymi i jak ich używać, aby wywołać skutki wprost przerażające.

Ofiary Sanu.

(Do illustracyj na stronie 17).

Nadeszło wreszcie lato po bardzo spóźnionej wiośnie i gdzie tylko można, ludzie spieszą do kąpieli. Niestety jednak nie zachowują przy tem należytej ostrożności, skutkiem czego nasze rzeki pochłaniają co roku mnóstwo ofiar. Najczęściej przyczyną nieszczęśliwych przypadków bywa nieumiejętność pływania, niekiedy znów zbytnie zaufanie swym siłom i nieznajomość wody. Szlachetny popęd ratowania bliźniego, bywa również przyczyną katastrof, bo nie darmo mówi przysłowie, że „tonący brzytwy się chwyta“, aby ratować swe życie. Spieszący na ratunek, o ile nie jest człowiekiem umiejącym pływać znakomicie, a przytem obdarzonym wielką dozą zimnej krwi, naraża się w równym stopniu jak tonący.

Taki właśnie smutny wypadek zaszedł przed kilku dniami w Przemyślu, przyczem dwóch młodych żołnierzy postradało życie, jeden jako tonący, drugi jako ratujący swego kolegę. Artylerzysta Wasylczuk, służący w 3-im pułku artyleryi fortecznej, udał się do kąpieli w Sanie. Nieszczęsnym trafem w tem miejscu, a mianowicie w okolicy wioski Hurko, woda w rzece jest bardzo głęboką. Być może, iż kurcze schwyciły nieszczęśliwego, dość, że zaczął tonąć. Widząc to, jego kolega Kuniewicz, żołnierz tego samego pułku, bez namysłu rzucił się w nurty rzeki, spiesząc na ratunek tonącemu.

Niestety, poświęcenie jego nie miało pożądanego rezultatu, gdyż Wasylczuk schwycił go z całych sił za szyję i pociągnął go za sobą na dno rzeki....

Pomoc kilkunastu ludzi, którzy byli świadkami tej okropnej sceny, okazała się spóźnioną. Dopiero w kilka godzin później wydobyto dwa skostniałe trupy, splecione w śmiertelnym uścisku.



Szkoła anarchistów: Kosz na bieliznę, z którego dobyto już częścią przygotowane bomby.

Kronika tygodniowa.

Nareszcie! Skończyły się wybory — kraj, po dwóch miesiącach karnawału i po dwóch tygodniach hucznych ostatków, powróci do pracy. Ciekawem byłoby zestawienie, co finansowo kosztował ten karnawał, jak drogo musieliśmy zapłacić za szczęście oglądania paru tuzinów pół-analfabetów na krzesłach poselskich.

Wydatki rządowe i ciał autonomicznych na maszynę wyborczą, lekko licząc, wyniosły 1,000.000 koron, a może reńskich. Wydatki rozmaitych komitetów były dwa razy większe. Gdyby każdy z 400-stu kandydatów poniósł przeciętnie koszta w kwocie 2.000 - 3.000 kor. (byli tacy, co się wykpili kilkuset koronami, ale byli i tacy, co dziesiątki tysięcy poświęcili „dla dobra narodu“) to mielibyśmy znów milionik. Doliczmy do tego prywatną ofiarność, a dojdziemy do jakich 7,000.000 lub 8,000.000 kor.

A policzmy teraz czas stracony kandydatów, komitetowych, urzędników, agitatorów (niektórzy z nich zresztą zarobili na tym interesie) i wyborców, to dojdziemy do sum niezmiernie poważnych. Przedewszystkiem każdy wyborca (a było ich pewno z 1 miliona) przeciętciowo dwa razy stawał do urny i był przynajmniej na dwóch zgromadzeniach — przyjmując więc na każdego stratę jednego tylko dnia roboczego, mamy już 1.500.000 dni roboczych. Pomiędzy tymi wyborcami było jednak przynajmniej 100.000 takich, co brali żywy udział w akcyi wyborczej. Niektórzy z nich, ściśle obliczając, stracili tydzień, niektórzy 2 tygodnie, niektórzy cały miesiąc czasu ogólną więc stratę czasu można obliczać na jakie 3,000.000 - 4,000.000 dni roboczych, co reprezentuje kwotę jakich 5 6,000.000 kor. A przecież każdy wyborca coś też wydał (na pokrzepienie ciała, na fiakra, a choćby na „gazetkę“); jeden wydał szóstaka, drugi koronę, trzeci kilka koron — a więc znowu ładna sumka poszła dla dobra kraju.

Wreszcie nie sami tylko wyborcy agitowali lub brali pośredni, choćby mały udział w wyborach — trzeba więc wliczyć stratę czasu „ochotników“ i „ochotniczek“, oraz poniesione przez nich wydatki. „Summa summarum“, gdyby tak wszystko wziąć pod kredkę, to może doszlibyśmy do jakich 20,000.000 kor., które zapłaciła Galicya za uszczęśliwienie jej powszechnymi wyborami. Wybór więc każdego posła kosztował do 200.000 kor. Ładny grosz, a towar, z małym wyjątkiem, dość marny. Za takie pieniądze możnaby było sprawić sobie coś lepszego, niż pp.: Mahlera, Fijaka, Stohandla, Szajera „e tutti... frutti“.

Do owych „frutti“ należy i trzech syonistów. Dziwna rzecz, że ci panowie przyjmują mandat sześcioletni, kiedy przecież ich dążeniem jest porzucić niewdzięczne ziemie Europy i założyć sobie własny kraj obiecany. Czego więc ci panowie chcą od parlamentu? Chyba pieniędzy na drogę. Jeżeli tylko o to chodzi, to niema chyba takiego ciała ustawodawczego w Europie, któreby nie zapłaciło syonistom kosztów podróży. Ale są oni (jak ktoś powiedział) niby owe chóry w operze, co śpiewają: „Uchodźmy stąd! uchodźmy stąd!“ i stoją na miejscu nieporuszone. Jeżeli syoniści chcą rzeczywiście wywędrować za morza, to czemuż wymagają n. p. aby zakładano gimnazya, a nawet uniwersytety żargonowe. Takich instytucyi nie zakłada się na lat 5 lub 15, a choćby 50, ale na stałe. Któż więc będzie do tych szkół chodził, jeżeli syoniści do ziemi obiecanej się wyniosą? Zresztą żargon nie jest jednakowy, a żydzi wielu krajów całkiem go nie znają. Należałoby więc raczej powrócić do prawdziwego żydowskiego języka, do hebrajszczyzny i uznać ją za język państwowy przyszłej monarchii czy rzeczpospolitej żydowskiej. Ale jak powiada Asnyk:

> Daremne żale, próżny trud,
> Bezsilne złorzeczenia —
> Przeżytych kształtów żaden cud
> Nie wróci do istnienia.—

co w żargonowym przekładzie Laskowskiego tak brzmi:

> Ferfał die Klaczke! Kajn Geszeft
> Ci fluchen is nisz hajte!
> Was Zacofane, alter Sort
> Hat sziojn gemachet Plajte!

Z nowych kształtów, którеmi się obecnie interesuje cała Europa, stoi na pierwszem miejscu sejm finlandzki, w którym zasiadają kobiety. Co prawda, nie są... niebezpieczne. Popatrzcie na ich portrety, a każdemu z was przypomni się... teściowa. Przypuszczam, że zjazd kobiet imienia Orzeszkowej w Warszawie większą przyjemność sprawi... fotografom.

Ale zanim ten zjazd się zjechał, już przyszłe jego uczestniczki... pojechały po sobie. Kobiety „narodowo myślące“ oddzieliły się od kobiet „postępowo myślących“ i oświadczyły, że oficyalnie udziału w zjeździe nie wezmą. Natomiast zapowiedziano przybycie reprezentantek płci pięknej z Krakowa (pani Bujwidowa i Turzyma), z Poznańskiego, Śląska itd. Kobiety z Litwy będzie reprezentował między innymi mecenas Tadeusz Wróblewski, kijowskie kobiety wystąpią w osobie pana Edwarda Peszkowskiego, z Moskwy przybędą dwie reprezentantki kobiet, p. Laudynowa i p. Aleksander Lednicki.

Niesłychanie ważną kwestyą, jak widzimy z komunikatu, zajmował się przed kilku dniami sekretaryat zjazdu. „Sekretaryat (słowa komunikatu) zarzucony jest listownemi zapytaniami, w jakich toaletach uczestniczki zjazdu występować mają“. Wobec tego sekretaryat zwraca uwagę, że „kobiety, wezwane do uczestnictwa w zjeździe, powołane są do rozważania kwestyj poważnych a między innemi sprawami swego równouprawnienia“. Sądzicie może, że sekretaryat wobec tego poleca strój męski jako symbol równouprawnienia? Nie — sekretaryat bardzo rozsądnie radzi, aby wszelki przepych w ubiorach wykluczyć, bo zjazd nie powinien być „wystawą strojów“, a przeciwnie, winien stwierdzić, że kobieta nie chce pozostać „niewolnicą mody, zwolennicą zbytku i błyskotek“ (oby to była prawda!). Ubiór (dalsze święte słowa sekretaryatu) dla myślących i inteligentnych kobiet „nie jest kwestyą pokazania się i zaspokojenia próżności“, ale kwestyą wygody. Więc ostatecznie radzi sekretaryat zaopatrzyć się w spacerowe krótkie i lekkie ubiory, zapowiadając, że „kapelusze pozostawione będą w szatni...“ Brawo, brawo! — ale przyznam się, że od ogłoszenia tego komunikatu o losy zjazdu przejmuje mnie obawa. Kapelusze zostawić w szatni – ależ to tyrania, to terror niesłychany! Widziałem postępową damę, która przeczytawszy powyżej streszczony komunikat, rzuciła go z gniewem na ziemię i zawołała: „Jeżeli nasze równouprawnienie ma się rozpocząć od odebrania nam wiekami zdobytych przywilejów, to wolę dalej pozostawać w niewoli!“

W sprawie tego równouprawnienia wydały kobiety warszawskie dwie odezwy. Pierwsza z nich twierdzi między innemi, że bez praw wyborczych **kobiety nie mogą spełniać swych zadań i obowiązków w rodzinie i społeczeństwie**“. Co u licha?! – a mnie się zdawało, że znam bardzo wiele kobiet, które spełniały swe zadania w społeczeństwie i w rodzinie, nie myśląc nawet o prawach wyborczych. Więc nie można być dobrą matką, żoną, córką, bez prawa oddania głosu np. na p. Petelenza lub Daszyńskiego? Ależ piękne (przypuszczam) panie, ja znam i mężczyzn, którzy do tej chwili obchodzili się bez prawa wyborczego nawet w Galicyi (a cóż dopiero mówić w Królestwie, gdzie przed dwoma laty nikt nie miał prawa wyborczego), a którzy spełniali swe zadania w rodzinie i społeczeństwie. Więc dla własnego dobra argumentujcie, o piękne damy, trochę logiczniej. O to was szczerze prosi największy zwolennik waszego równouprawnienia, gdyż leży ono przedewszystkiem w interesie mężczyzn, którym wasze równouprawnienie zmniejszy wiele ciężarów, pozbawiając ich zarazem wielu niewygód i nieprzyjemności, znoszonych wskutek posiadanych obecnie przez was przywilejów — boć przecie wszelkie przywileje przy równouprawnieniu ostać się nie mogą.

Druga odezwa jest... pompatyczna. Oto z niej jeden ustęp:

„Za nami przeszłość martwego snu. Wskazówka sprawiedliwej miary na zegarze wolności już dobiega godziny wyzwolenia. Kobieta głośnym protestem odrzuca niewolniczą bierność ślimaczego istnienia. Kobieta nie może pełnić (znów to samo!) obowiązków obywatelskich w domu i ojczyźnie, gdy głos jej nie warunkuje prawa tych obowiązków... W imię niezbitej prawdy, że bezprawie, odtrącające kobietę od wspólnoty prawodawczej pracy, znieczula sumienia powszechne na szereg innych bezprawi, obniża poziom etyczny i zdrowotny (!) społeczeństwa, staje się podwaliną zniewag, spełnianych na człowieczej godności w kobiecie — pada między nas pobudka:

„Wytężmy wszystkie siły nasze, aby obudzić w sumieniu kobiety poczucie wyrządzonej nam krzywdy, a w sumieniu mężczyzny samoobronę przeciw mianu krzywdziciela“.

Odezwa żąda więc podpisów za czteroprzymiotnikowem głosowaniem bez różnicy płci, wyznania i narodowości.

Sensu w tych frazesach niewiele, ale co za styl! A język — niczem muzyka. A temperament — abisyński.

„Krzywdzicieli“ ukarała w dobitny sposób umarła niedawno w Routhpass City (naturalnie, że w Ameryce) 45-letnia Jeannie Carro. Narzeczony porzucił ją w dzień ślubu i od tej chwili przez lat 17 nie przemówiła ani jednego słowa do żadnego mężczyzny i zobowiązała swą siostrę, aby na jej pogrzebie nie znajdował się ani jeden przedstawiciel płci brzydkiej. Gdyby ten radykalny środek zemsty za zdradę znalazł naśladowniczki i naśladowników, to zachodziłaby obawa, iż 90% kobiet i mężczyzn używałoby organu mowy tylko w stosunkach z płcią własną.

Napozór do ciał, nadużywających tego organu, należy Duma rosyjska:

> Draj mał a Gołdmond
> Wekselte Monatkes...
> (Trzy razy księżyc odmienił się złoty)

a ona gada, gada i nic nie wygadała. A jednak znajduje się w niej 325 posłów, którzy do tej chwili „pary z ust nie puścili“.

Natomiast ostro puszczają tę „parę“ robotnicy przy uprawie wina i właściciele małych winnic na południu Francyi. Wysokie cła na wina i fałszowanie tego boskiego trunku, doprowadza ich do ruiny. Zapasy są olbrzymie, a niema nabywców. Więc głównie przeciw fałszerzom wina powstało całe „południe“.

W samem Carcossone odbył się wiec, który zgromadził przeszło 200.000 uczestników. Postawa tłumów jest tak groźną, że rząd obawia się wybuchu winnej rewolucyi i szuka środków do jej niedopuszczenia. Może na tem i my coś zyskamy, może uda się nam spotkać czasami z czystem winem za tańsze pieniądze, niż dziś kosztują fabrykaty.

Za „tańsze pieniądze“ chcą mieć podobno robotnika niektórzy właściciele obszarów dworskich w Galicyi i z tego powodu wpadli („si fabula vera“) na myśl sprowadzenia do robót polnych.... Chińczyków. Kto wie, czy to nie jest tylko parawan, zasłaniający poważne kombinacye polityczne. Pod firmą Chińczyków mogą być sprowadzeni Japończycy — i tak po cichutku, bez hałasu, odbędzie się sformowanie armii japońskiej na tyłach armii niemieckiej. Jeden młody Chińczyk już nawet zawitał do Wielkopolski i jest terminatorem stolarskim czy ślusarskim; mówi dobrze po polsku i przyjął wiarę katolicką. „Caveant consules Germaniae!“ bo zbliża się już.... żółte niebezpieczeństwo!

Dlatego to może tak czule witał cesarz Wilhelm dziennikarzy angielskich, bawiących w Berlinie. Dlatego to może, stojący na usługach Hakaty Björnson wypuścił nową zatrutą strzałę w stronę Polaków....

Kącik humorystyczny.

Logiczny wniosek.

Żona: Nasz Jaś z każdym dniem coraz bardziej jest do ciebie podobnym.

Mąż: Hm! hm! Czy znowu co zbroił?

Na ulicy.

— Czy to prawda, że się żenisz?

— Cóż dziwnego — założę menażeryę!

W kantorze.

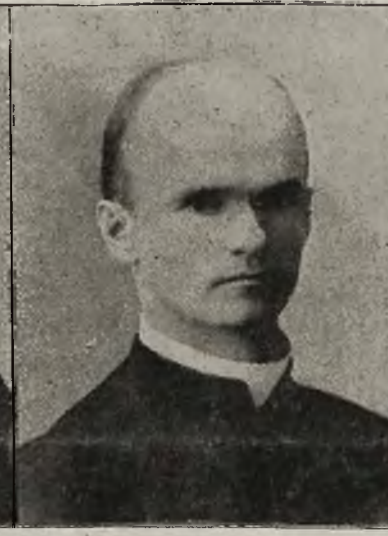
— Tate, gib myr paar kracer. Jach wiłł ins menazieri kiken!

— Gais di weg, dummer Icyk! Wus najes wirst di in menazieri zejen?... Wolf haist di, ezel bist, lajze hast di; di bist die ganze menazieri!!!

Nowowybrani posłowie.


Stanisław Potoczek (samoistny lud) Nowy Sącz Stary Sącz-Grybów.


Dr. Franciszek Bujak (demokrata) Kraków-Wieliczka.

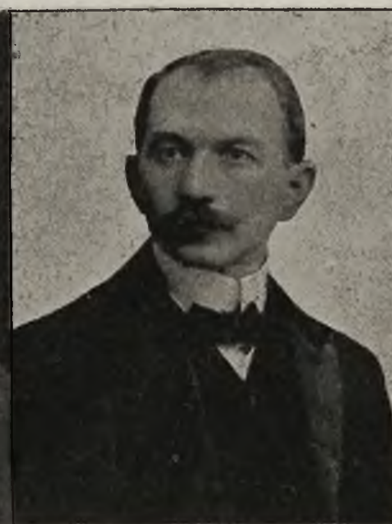

Ks. Stanisław Hanusiak (centrowiec) Biała-Oświęcim-Andrychów.


Dr. Władysław Czaykowski (konser.) Przemyśl-Dynów-Mościska.


Adolf Stand (syonista) Brody-Łopatyn-Radziechów.


Semen Wityk (ruski socyalista) Stary Sambor-Turka-Drohobycz.


Dr. Dymitr Markow (moskalofil) Sokal-Brody-Zborów.


Dr. Henryk Gabel (syonista) Buczacz-Podhajce-Wiśniowczyk.


Dr. Wincenty Jabłoński (nar. dem.) Sanok Dobromil-Krosno.


Ludwik Dobija (centrowiec) Biała-Oświęcim-Andrychów.


Jacko Ostapczuk (ruski socyalista) Kozowa-Tarnopol-Zbaraż.


Dr. Michał Korol (moskalofil) Rawa ruska-Żółkiew-Jaworów.

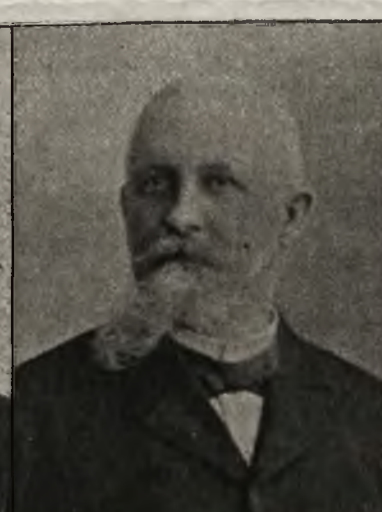

Jan Zarański (narod. demokrata) Stary Sambor-Turka-Drohobycz.


Franciszek Wójcik (ludowiec) Kraków-Wieliczka.


Dr. Adam Ruehenbauer (ludowiec) Bochnia-Brzesko-Wiśnicz.


Kazimierz Obertyński (konserw.) Złoczów-Kamionka str.-Przemyślany.


Dr. Daniel Stachura (ukrainiec) Jarosław-Radymno Cieszanów.


Julian Romańczuk (ukrainiec) Dolina-Kałusz-Nadwórna.

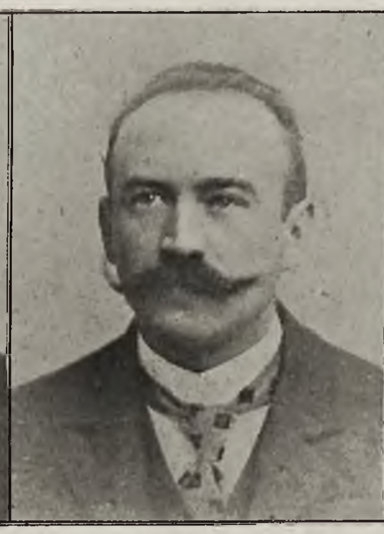

Ks. Józef Folis (ukrainiec) Lwów-Szczerzec-Gródek.


Dr. Ludomił German (nar. dem.) Jag. Nowy Sącz-Stary Sącz-Nowy Targ.

Nowowybrani posłowie.


Ks. Stefan Onyszkiewicz (ukrainiec).
Sambor-Rudki-Komarno.


Grzegorz Cegliński (ukrainiec)
Przemyśl-Dynów-Mościska.


Dr. Józef Ptaś (narod. demokrata)
Limanowa-Nowy Targ-Krościenko.


Bartłomiej Fiedler (nar. demokr.)
Sanok-Rymanów-Lisko.


Dr. Roger br. Battaglia (narod. dem.)
Tarnów.


Dr. Mikołaj Hlibowicki (moskalofil)
Złoczów-Kamionka.


Dr. Eugeniusz Lewicki (ukrainiec)
Obertyn-Tłumacz-Stanisławów.


Tomasz Szajer (centrum)
Kolbuszowa-Rzeszów.


Dr. Kost' Lewicki (ukrainiec)
Brzeżany-Rohatyn.


Dr. Stanisław Dniestrzański (ukrain.)
Rawa-Żółkiew-Bełz.


Wojciech Wiącek (nar. demokr.)
Nisko-Tarnobrzeg.


Ks. Tytus Wojnarowski (ukrain.)
Peczeniżyn-Kołomyja.


Ks. Stanisław Stojałowski (centrum)
Bochnia-Niepołomice.


Ks. Andrzej Szponder (centrum)
Jaworzno-Chrzanów.


Ks. Wasyl Dawydiak (moskalofil)
Medenice-Stryj-Skole.

Tajemniczy zamach polityczny.

Wybory w Galicyi skończone. Echo jednak namiętnej walki o mandaty długo jeszcze będzie rozbrzmiewać po kraju, będzie się odzywać zaciekłą polemiką, wymyślaniem wzajemnem. Zanosi się jednak i na gorsze rzeczy. Donoszą mianowicie ze Złoczowa, iż na sekretarza tamtejszego starostwa, p. Franciszka Słoneckiego, który w czasie wyborów bywał w okolicznych miejscowościach w charakterze komisarza wyborczego, wykonano zamach, przyczem p. Słonecki odniósł lekką, na szczęście, ranę.

W ubiegłym tygodniu — jak piszą ze Złoczowa — wracał p. Słonecki wieczorem ze Sokołówki do stacyi kolejowej w Ożydowie. W chwili gdy przejeżdżał przez las, na t. zw. Mostkach, huknęły nagle z poza drzew jeden po drugim dwa strzały rewolwerowe, z których pierwszy chybił, a drugi ranił p. Słoneckiego w rękę. Przerażony odgłosem strzałów woźnica zaciął konie, które pomknęły cwałem i wkrótce dotarły do dworca, gdzie rannemu komisarzowi opatrzono skaleczoną rękę.

Napad był widocznie uplanowany, a tłem jego najprawdopodobniej sprawy polityczne: porachunki za wybory. Przypuszczenie to znalazło potwierdzenie w następnej wiadomości ze Złoczowa o szczegółach śledztwa i jego wynikach.

Oto wysłany w tym celu ze Lwowa ajent policyjny, wziąwszy się sprytnie do rzeczy, wyśledził już sprawcę zamachu w osobie parobka ze Sokołówki, którego też natychmiast aresztowano. Żona tego parobka jest służącą u parocha miejscowego, ks. Kalwy. Przesłuchany parobek zeznał, że zamachu dopuścił się za namową ks. Kalwy, który go nawet pouczył, jak ma zamach urządzić. W następstwie tych zeznań aresztowano także i księdza Kalwę.

Cała sprawa zaogniła się obecnie a chłopi ru-

scy, ujmując się za swym duszpasterzem, odgrażają się ludności polskiej. Celem zapobieżenia niepokojom wysłano tam 15 żandarmów.

W okręgu złoczowskim wiejskim kandydowali ze strony ruskiej: dr. M. Hlibowicki, starorusin i i ks. Zielski, ukrainiec; ze strony polskiej zaś p. K. Obertyński. Wybrani zostali: dr. Hlibowicki i p. Obertyński. Czyżby strzał w lesie pod Sokołówką był zemstą za upadek ukraińca, ks. Zielskiego?...

Ranny komisarz wyborczy, p. F. Słonecki, jest w Złoczowie osobą bardzo popularną, bierze żywy i czynny udział w życiu publicznem. Znają go tam wszyscy jako gorliwego Sokoła, oraz jako pracownika w miejscowem kole Towarz. Szkoły ludowej. Ogół polski otacza też p. Słoneckiego życzliwością i przyjaźnią; radykalne zaś żywioły ruskie patrzą nań niechętnie i wrogo.

Obok zamieszczamy portret p. Franciszka Słoneckiego.



Ofiary Sanu: Artylerzysta Kuniewicz, który zginął, ratując tonącego kolegę.



Tajemniczy zamach polityczny: Sekretarz starostwa w Złoczowie, p. Fr. Słonecki, raniony kulą rewolwerową.



Ofiary Sanu: Artylerzysta Wasylczuk, który utonął podczas kąpieli w Sanie.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

2 Ciąg dalszy.

— Mam wielką ochotę wypłatać im figla i pójść za nimi na wieżę.

— Po cóż im przeszkadzać?

— I ty Don-Kiszocie, obrońco zagrożonej cnoty, rycerzu gotowy kruszyć kopię w obronie moralności, ty nie chcesz przeszkodzić takiej schadzce? Pomyśl tylko, że to niezawodnie żona zdradzająca męża z jakimś przyjacielem domu, a może i mąż zdradzający żonę — z jej najlepszą przyjaciółką. Przytem miałbyś sposobność zobaczyć anioła z pod dzwonu.

— Jak ona się nazywa?

— Rozalia Verdier. Czy dlatego się pytałeś, że odezwały się w tobie arystokratyczne uczucia? Otóż powiem dla pociechy twojej baronowskiej godności, że dzwonnik Verdier — jest właściwie de Verdier, że jest szlachcicem z Provansalii. Rodzina zubożała, wykształcenia wyższego nie otrzymał, wstąpił do wojska, potem ożeniwszy się z głębokiej miłości, z wojska wystąpił i przyjął posadę dzwonnika, dlatego jedynie, ażeby z żoną uciec jaknajdalej od ludzi.

— I ta kobieta zgodziła się na to?

— Bardzo się z tego cieszyła, bo i ona również w mężu i dziecku widziała świat cały.

— Bywają jeszcze w Paryżu prawdziwe cnoty małżeńskie.

— No chodź nudziarzu. Pójdziemy na wieżę i zobaczymy pannę Rozalię de Verdier.

— Przecież nie wejdziemy do jej mieszkania.

— Tego wcale nie potrzeba. Na trzeciem piętrze jest krata zawsze zamknięta. Kto chce iść na wyższe piętra wieży, musi u kraty zadzwonić, a zwykle otwiera panna Vierdier, bo ojciec albo wpatruje się w fotografię swej żony, przyciska ją do ust i modli się za nią, czy do niej, czego córka przerywać mu nie chce, albo też nieszczęśliwiec leży pijany.

— A jeżeli ta para nie poszła na wieżę, to szkoda trudu.

— W takim razie skorzystamy bodaj tyle, że nam przechadzka zaostrzy apetyt.

Poszli. Gdy stanęli na placu, doktor spojrzał w górę, ku wieży.

— A co? czy nie miałem słuszności? Widzisz Don Kiszocie tam na górze? W otworze tuż nad gzemsem niebieski welon, to nasza tajemnicza dama. Patrz, wiatr welon unosi, twarz się odsłoniła, kieruj lornetę, przypatruj się dobrze i powiedz, czy piękna?

Meriadec skierował szybko lornetę, ale w tej chwili dama zniknęła, a również i jej towarzysz.

— Zaćmienie słońca — rzekł śmiejąc się Meriadec.

— Chodźmy je zbliska podziwiać. Ale patrzno w górę, pokazała się na balkonie u szczytu wieży.

— Widzę ją. Ależ to umiała pędzić na górę, że w tak krótkim czasie wspięła się już tak wysoko. To pewnie jakaś angielska lady, bo tylko Angielki skaczą jak kozy po cztery schody naraz. Z jakąż to oni przyjemnością podziwiają z tak wysoka panoramę miasta. Już ich nie widać; pewnie teraz się cofnęli w zakątek wieży, żeby używać samotności. No chodźmy już.

Meriadec schował lornetę do futerału, przyspieszyli kroku, skręcali już w uliczkę, gdy usłyszeli krzyki zbiegowiska z drugiej strony wieży.

— Musiało się stać jakieś nieszczęście — rzekł lekarz i pobiegł ku zbiegowisku. Meriadec pospieszył także. Zanim się przez tłum przecisnęli, obijały im się o uszy różne wykrzykniki: „musiała być bardzo bogatą“, „ta się z nędzy nie zabiła“, „może ją kto strącił“.

Daubrac utorował sobie drogę przez tłum, wołając na wszystkie strony, że jako lekarz spieszy na ratunek; Meriadec zdążał za nim. Zobaczyli straszny widok. Na bruku leżało strasznie pokaleczone ciało kobiety. Czaszka rozpadła się w kawałki, twarzy nie było można poznać. Daubrac posłał do szpitala po mary i wezwał policyę. Zanim mary przyniesiono i policya się zjawiła, przyjaciele zamienili kilka słów ze sobą:

— Mnie się zdaje, że to ona — rzekł Daubrac. Ubrana równie elegancko, równie bogato, tylko brak niebieskiego welonu. Zapewne wiatr go uniósł, gdy z wieży spadała.

— A gdzie jej towarzysz? — szepnął Meriadec.

— Na żaden sposób nie mógł jeszcze przybyć, ale lada chwila zobaczymy go tu w rozpaczy. Policz, po ilu schodach pędzić musi na dół.

— Czy to morderstwo, czy też samobójstwo? — szepnął Meriadec.

— Jeżeli morderstwo, towarzysza nie zobaczymy, jeżeli samobójstwo, niebawem tu się zjawi. Mnie się zdaje, że to samobójstwo. Prawdopodobnie dowiedziała się, że będą musieli zerwać stosunek miłosny, albo może posprzeczali się z sobą. U kobiet zakochanych objawia się w takich wypadkach nagle tak silne wzburzenie, że tracą panowanie nad sobą i popadają w rozpacz. Morderca miewa tysiące innych sposobów dokonania zbrodni, a zawsze unika oka ludzkiego i rozgłosu.

Zjawiła się wreszcie policya, przyniesiono też mary ze szpitala. Zanim przystąpiono do podniesienia zwłok, usłyszano zdaleka krzyk męskiego głosu; wszyscy zwrócili się w tę stronę, z której głos dochodził. Zobaczono biegnącego młodego człowieka, w czerwonej czapce; wywijał rękoma, jakby chciał jakieś znaki dawać, wreszcie zdyszany przypadł do komisarza policyi i zawołał:

— Po co panowie tu stoicie? nie wskrzesicie zabitej, a tymczasem morderca ucieknie.

— Co? morderca? — Zawołali Daubrac i Meriadec równocześnie.

— Oczywiście, morderca, nikczemnik, który tę kobietę strącił z wieży.

— Skąd pan wiesz o tem — zapytał komisarz policyi.

— Bo widziałem na własne oczy. Stałem po tamtej stronie rzeki i spoglądałem na wieżę, bo jej nie widziałem jeszcze w tem oświetleniu. Nagle zjawia się na szczycie jakiś mężczyzna z kobietą, chwyta ją prędko za nogi, podnosi w górę i rzuca na dół.

— Niezwykły pan masz wzrok — rzekł komisarz ironicznie.

— Istotnie, że mam niezwykły. Szkoda czasu na gadanie, biegnijmy czemprędzej, morderca jeszcze nie mógł zejść na dół, chwycimy go na schodach.

— Bardzo słusznie — wtrącił Daubrac — gdyby to nie było morderstwo, tylko samobójstwo, to i tak należałoby przesłuchać osobę, która była przy tem obecną.

— Jeżeli pan nie pospieszysz natychmiast — wołał młody człowiek w czerwonej czapce do komisarza — to sam pobiegnę i owego draba pochwycę.

— Proszę mi żadnych nie udzielać poleceń — ja wiem sam, co jest moim obowiązkiem, a przedewszystkiem obowiązany jestem zapytać pana, kto pan jesteś.

— Nazywam się Jean Fabreguette, jestem malarzem i mieszkam w ulicy Huchette pod liczbą 19.

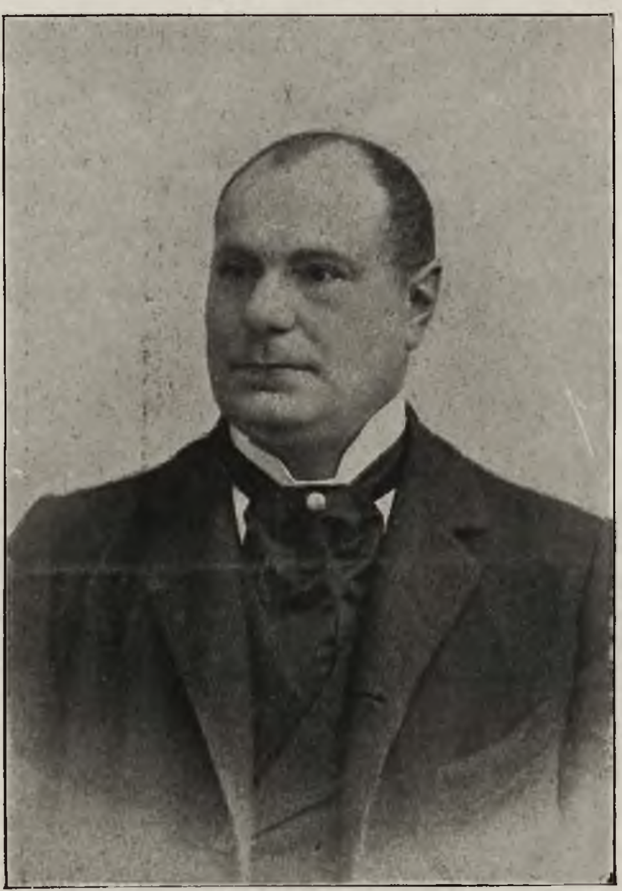
(Dalszy ciąg nastąpi).

Mieczysław Frenkel.

Miły gość bawi od kilkunastu dni na deskach teatru miejskiego we Lwowie. Mieczysław Frenkel. Ten znakomity, niezrównany komik charakterystyczny, ten wielki polski artysta dramatyczny, którego kreacye w zachwyt wprawiają każdego, kto ma sposobność je zobaczyć.

Frenkla zna publiczność lwowska z lat dawniejszych. Należał do personalu dramatycznego w teatrze skarbkowskim i już wtedy był ulubieńcem Lwowa. Przed kilkunastu laty wyjechał do Warszawy i tam wysunął się od razu na czoło drużyny artystycznej. Tam też talent jego jeszcze bardziej urósł, spotężniał, skrystalizował się. Dziś przybył do Lwowa na szereg gościnnych występów. Wiadomość o tem zelektryzowała publiczność lwowską. Mimo nieodpowiedniej pory, teatr zapełnia się po brzegi, ile razy nazwisko ukochanego gościa ukaże się na afiszu. Tak było na fredrowskim „Geldhabie", tak było na wszystkich dalszych występach Frenkla. I towarzyszą mu oklaski i brawa, towarzyszy entuzyastyczne uznanie i jednogłośne, towarzyszą pochwały krytyki.

I nic dziwnego. Boć każda postać, stworzona przez Frenkla, to postać żywa, doskonale zaobserwowana, tryskająca humorem i werwą. Frenkel jest artystą niepospolitym, artystą w wielkim stylu, wyrosłym ponad przeciętną miarę i jest niezmiernie sumiennym. Przebija się to już w charakteryzacyi, zawsze świetnej, choć zawsze odmiennej i zawsze indywidualnej. Role swe przeprowadza ogromnie konsekwentnie, opracowuje je do najdrobniejszych szczegółików, daje też istne cacka, istne perły kunsztu aktorskiego. I tak jest zawsze, bez względu na to, czy gra rolę dużą, na pierwszy plan wysuniętą, czy drobną, epizodyczną. Inna rzecz, że dzięki artyzmowi Frenkla nawet taka epizodyczna postać urasta i potężnieje i zwraca na się baczność całego audytoryum.



Mieczysław Frenkel.

Rozpoczął Frenkel występy we Lwowie rolą tytułową w Fredrowskim „Geldhabie". I od razu podbił serca publiczności lwowskiej, która podziwiała stylową, wytworną kreacyę artysty, podziwiała jego przepyszną maskę i dykcyę wspaniałą. Geldhaba pojął i przeprowadził Frenkel odmiennie niż inni artyści, których widziano w tej roli na scenie lwowskiej; dał jednak postać ogromnie prawdziwą i jednolitą. A taki np. Dzieńdzierzyński, ów paradny dorobkiewicz w „Rozbitkach" Blizińskiego. Całkiem prostymi środkami pokazał Frenkel figurę tak wesołą, tak śmieszną, a jednak tak przytem sympatyczną, że publiczność zanosiła się od śmiechu, ile razy Dzieńdzierzyński wyszedł na scenę.

Prawdziwie popisową rolą znakomitego artysty jest „Chory z urojenia" Moliera. Bez grubych, przesadnych afektów, bez cienia szarży, wywołuje Frenkel wrażenie silne i niezatarte. Gra tak, iż widownia nie przestaje się śmiać. Paradną też jest zwłaszcza mimika Frenkla.

Powodzenie niezrównanego komika jest ogromne. I wzrasta z dnia na dzień. Publiczność lwowska nie szczędzi wielkiemu artyście objawów uznania i nagradza go hucznymi oklaskami, o ile jej w tem śmiech serdeczny nie przeszkadza.

Z lwowskiego bruku.

(Potop we Lwowie. — Bezhołowie ratunkowe. — Przytomność prezydenta a straż pożarna. — Wojsko i stacya ratunkowa. — Historya o pięknej blondynie, jej mężu, koledze i kucharce. — Dramat z sympatycznem wyjściem. — Występy Frenkla).

Tydzień zaczął się od potopu. Cały Lwów, ten wielki i ten mały, bogaty i ubogi, brudny i jeszcze brudniejszy, stanął częścią we wodzie, a częścią pod wodą i kąpał się. Naród cieszył się, że Lwów nareszcie się wykąpie i będzie czysty, ale kiedy woda rosła, a deszcz nie ustawał, wszystkich ogarnęła trwoga, że Lwów cały utonie, co — zdaniem optymistów — byłoby przecież jeszcze pewną szkodą. Była chwila, kiedy ludzie zaczęli się żegnać, jak przed końcem świata i potracili głowy. Telefonowano po prezydentów miasta, po straż pożarną, po stacyę ratunkową, do urzędu wodociągowego, do policyi, do wojska, do prokuratoryi i wszędzie, skąd można było spodziewać się ratunku. Straż pożarna przyjechała z sikawkami. Gdyby nie przytomność umysłu wiceprezydenta czy prezydenta, czy jeszcze nie-prezydenta p. Ciuchcińskiego, który odrazu się zoryentował i straży pożarnej wytłómaczył, że to powódź a nie pożar, byliby strażnicy zaczęli sikać wodą i powiększyli katastrofę. Wóz stacyi ratunkowej przyjechał z watą karbolową, bandażami, nożycami i olejkami. Nawrócił go ciągle jeszcze przytomny prezydent, czy jeszcze nie-prezydent p. Ciuchciński z uwagą, że przyjechał niepotrzebnie, a raczej za wcześnie.

Wojsko przybyło z karabinami i armatami, jakby do wyborów i chciało strzelać do wody, ale p. prezydent nie radził. Było źle.

Pomimo, że prezydenci miasta, dyrektor wodociągów, naczelnik straży pożarnej, przełożony stacyi ratunkowej, dyrektor policyi i komendant wojska kierowali akcyą ratunkową i przemawiali do wody przez całą godzinę, woda nie ustępowała, a nawet przeciwnie wzbierała coraz więcej, wchodziła do parterowych mieszkań przez piwnice, a do mieszkań piętrowych przez dachy i robiła spustoszenia.

Na szczęście nie trwało to długo, bo zaledwie dwie godziny, w czasie których ulice przemieniły się w rzeki, place w jeziora, chodniki w klawiatury fortepianowe, a cały Lwów w Wenecyę, ale po lwowsku. Ci, którzy cieszyli się, że Lwów się skąpie i będzie czysty, zawiedli się srodze. Po powodzi był jeszcze brudniejszy, bo wszystko, co przedtem było tylko powierzchownie przyklejone, pomalowane, ozdobione i odnowione, odpadło lub rozmazało się i obłazło i Lwów stał się znowu sobą.

W każdym razie uniknęliśmy szczęśliwie katastrofy i — jak donoszą dzienniki — „prócz jednej krowy nie było żadnych więcej ofiar w życiu ludzkiem".

* * *

Tydzień z tak wodnistym początkiem nie mógł obfitować w ciekawe wypadki. Wszystko trąci wodą. Chyba, że z tej wody wyłowić jakąś rybkę w guście owej zamaszystej blondyny, która wdziękami swoimi oczarowała kolegę swego męża do tego stopnia, że wystawał godzinami w sieniach naprzeciwległego domu i czekał, czy ją ujrzy.

Czekał i drżał. Trochę z niecierpliwości a trochę ze strachu. Bo miłość ma swoje prawa, a kości swoje—i nikt rozsądny nie naraża kości dla miłości. A kochać cudzą żonę bez narażenia własnej skóry, to jest niepodobieństwem, które nawet nie da się pomyśleć. Nie kochać znów trudno, bo serce nie sługa itd. Mąż pięknej blondyny jest przytem barczystym facetem i ma dłoń, jak marmurowy stolik.

Każdy, nawet niefachowy, zrozumie, że taka sytuacya jest paskudna, bo ani w kąt, ani w drzwi. A stać ciągle w sieniach „vis-a-vis", także niema sensu, bo nie prowadzi do niczego. Więc co robić? Piękna blondyna była kokietką i sprzyjała mu widocznie, bo ciągle stawała w oknie i patrzyła w jego stronę. Tak działo się przez kilka tygodni. Nareszcie rozkochany jegomość wpadł na pomysł. Chodziło przecież tylko o to, aby się dostać do domu kolegi żonatego, którego nawet wcale nie znał, tylko z widzenia. Trudno żądać, aby go sam kolega poprosił.

Ale od tego człek ma głowę, aby sobie umiał radzić. Nawiązał stosuneczek z — kucharką kolegi i pięknej damy.

To było o wiele łatwiej. Jeden pakiet cukierków i ciastek otworzył mu serce kucharki na ścieżaj. A od kucharki do pani był tylko jeden krok przez próg. Kucharka miała narzeczonego i prosiła z góry nowego adoratora, ażeby przed narzeczonym jej udawał, że przychodzi do pani. Jeszcze lepiej.

Zaczęło się „bywanie", a wtajemniczeni twierdzą, że wszystko szło z powodzeniem, bo piękna pani była pomocną. Lecz raz, a to w tym tygodniu — nadszedł mąż i zastał nieznajomego kolegę w towarzystwie żony, przy stole. Zdziwił się trochę, a żona w mig wytłómaczyła mu, że pan X., jego kolega, człowiek o bardzo podatnem sercu, miał to nieszczęście, że zakochał się w „naszej kucharce i właśnie przychodzi prosić nas o jej rękę, bo czuje, że bez niej żyć nie może". „Tak jest — przyznał chcąc nie chcąc p. X., mocno zaaferowany—i powtórzył to samo. Mąż pięknej blondyny jął perswadować koledze, że to niedorzeczność i rzeczywiście przekonał go w pięciu minutach. Pan X. zmienił się, już nie kocha kucharki, ale za to bywa stale w domu swego żonatego kolegi — naturalnie tylko z wdzięczności za to, że go uratował przed zamierzonym mezaliansem.

* * *

Przyrzekłem w poprzednim liście napisać coś o Frenklu. Mieczysław Frenkel, który bawi u nas od kilku tygodni, ma sławę zbyt wielką i ustaloną, abym mu tu miał robić teraz tanią reklamę. Zanotować tylko muszę, że Frenkel swoje olbrzymie powodzenie zawdzięcza nadzwyczajnej inteligencyi aktorskiej, która mu nie pozwala ani na cień szarży lub przesady, nawet tam, gdzie o szarżę łatwo.

Frenkel jest wielkim artystą, bo prócz nadzwyczaj korzystnych warunków zewnętrznych — postawa, głos, twarz — ma dziwny dar najnaturalniejszego odtwarzania swoich postaci bez żadnych aktorskich środków lub sztuczek. Na Frenklu powinni się kształcić artyści, jeśli chcą być artystami.

Frenkel gra duszą — na twarzy malują się dopiero przejścia jego duszy, dlatego gra jego jest tak równą, jednolitą, spokojną a tak piękną. W ansamblu nie chciałby wybić się na pierwszy plan, a jednak występuje, bo jest najprawdziwszym. Gdyby w dramacie występował ansambl, złożony ze samych Frenklów, nie byłaby to sztuka teatralna, ale najidealniejsze życie.

Ale niestety, mamy tak mało, tak bardzo mało Frenklów.

Kl.

Kącik humorystyczny.

Delikatna pokojówka.

Pani (przyjmując pokojówkę): Gdzieś przedtem służyła moje dziecko?

Pokojówka: Zaraz pani wyliczę, tylko czy pani ma aby z godzinkę czasu?

Enfant terrible.

— Panie mój złoty, niech mi pan pokaże jaką sztuczkę.

— Nie umiem żadnych, moje dziecko.

— E, pan musisz umieć piękne sztuki.

— Dlaczego?

— Bo jak pan przychodzi, to mama zawsze mówi: znowu przyszła ta stara małpa!

Złapali się...

Obrazek amerykański.

(Dokończenie).

— All right! — rozstrzygnął John. — Bierzmy się do dzieła. Mamy ośmset dolarów oszczędności, złożonych w banku, a jutro dostajemy pensyę. Razem będzie okrągły tysiąc. Baranie głowy z biura zakładów zapłacą nam ładny procent od tego kapitału! Ha! ha! ha! Dobrze im tak, czemu zawiesili swój własny drut przed naszemi oknami?

...Przez kilka dni następnych obaj przyjaciele pracowali nader pilnie. Nie było to łatwo przeciąć drut dość silnie naciągnięty i to w ten sposób, aby jego oba końce na ziemię nie spadły. Lecz od czegóż byli John i Jimmy majstrami w swoim fachu? Wyszukali porcelanową śrubę i przytwierdzili do niej dwa kawałki miedzianego drutu. Pod osłoną nocy Jimmy przyciągnął, o ile się dało, blisko ku oknu drut prywatny, dokoła którego obwinął z jednej i z drugiej strony dwa końce swego drutu miedzianego, a następnie je dokładnie zlutował, poczem przeciął drut prywatny pośrodku między tymi połącznikami. W ten sposób połączenie bezpośrednie zostało przerwane, bo prąd elektryczny nie mógł pójść dalej poza śrubę porcelanową. Dalej połączyli pomysłowi telegrafiści drut prywatny z jednej strony izolacyi z aparatem odbierającym, a z drugiej — z wysyłającym. Te zaś aparaty zostały także ze sobą połączone. W taki sposób stacya biura zakładów, gdy prąd był puszczony, nie mogła się domyśleć podstępu. Wystarczało jednak jedno dotknięcie guzika, aby prąd, zamiast gdzie należało, został skierowany do aparatu odbierającego, ustawionego przez Johna i Jimma. Stamtąd zaś w dowolnym czasie można było przesłać depeszę dalej, do właściwego miejsca przeznaczenia.

Plan był nieźle obmyślany. John musiał tylko tak długo zatrzymać depeszę, donoszącą o wyniku biegów, jak długo potrzebował Jimmy czasu, aby dobiedz do biura zakładów, położonego na rogu najbliższej ulicy i tam ulokować ich wspólną stawkę. Wynikłej stąd różnicy dziesięciu minut, można było spodziewać się, że nikt nie spostrzeże.

* * *

John i Jimmy z gorączkowym niepokojem siedzieli przy aparatach. Obydwaj łotrzyki próbowali oczywiście kilka razy, czy ich oszustwo nie zostanie wykryte. Bynajmniej! Telegrafista w biurze zakładów niczego nie spostrzegł. Wszystko składało się bajecznie, dowiedzieli się bowiem, że drut prywatny, który podchwycili, prowadził prosto na plac wyścigowy w Nowym Orleanie.

Właśnie dziś odbywały się tam wielkie wyścigi wiosenne.

Czekali na ich rezultat z niedającym się opisać niepokojem. Czas wlókł się dla nich żółwim krokiem. Wreszcie wybiła godzina druga.... oczekiwanie.....

......Wtem — ostry głos dzwonka, a później lekkie stukanie w aparacie.... przecież! John odczytywał depeszę:

— „Pierwszy.... bieg.... start....“

— Dlaczego oni to telegrafują?.... — zapytał zdziwiony.

— Ależ to rzecz jasna — szeptem mu odpowiedział Jimmy. — Ajent telegrafuje ze swej trybuny na placu wyścigowym. Z chwilą gdyby biuro otrzymało tę depeszę, już nie będzie przyjmowało zakładów. Oni są przebiegli, ale jeszcze przebieglejsi chodzą po świecie.....

Znów parę chwil nader przykrego oczekiwania. Po czternastu minutach nadchodzi depesza:

„Beauty“ 93, 20, 17, „Winning Bird“, „Agamemnon“, drugi bieg, start....

— „Beauty“, „Beauty“ — mruknął kilka razy Jimmy, jak gdyby chciał wbić sobie w pamięć nazwisko zwycięskiego konia. — Bogowie! 93 za 10, a zatem 9300 dolarów! Tylko dziesięć minut! John! uwaga!

Wybiegł z biura telegraficznego jak szalony.

* * *

W biurze zakładów był tłum ludzi.

— Tysiąc dolarów, Nowy Orlean, pierwszy bieg, „Beauty“ — zapowiedział lakonicznie Jimmy, tłumiąc w sobie uśmiech zadowolenia.

— Czy pan sobie życzy także stawiać na plac?

— Bynajmniej — odparł Jimmy.

Buchalter obojętnie odebrał pieniądze i wręczył mu tiket.

Po paru minutach wywieszono znów czarną tablicę z napisem:

„Nieprzyjmuje się zakładów na pierwszy bieg w Nowym Orleanie“.

John oczywiście przesłał już pierwszą depeszę...

Niemożliwie długim wydał się Jimmowi kwadrans następnego oczekiwania.

W końcu zjawiła się jeszcze raz czarna tablica a na niej wynik:

„Pierwszy bieg Nowy Orlean:

„Agememnon“ . 1

„Winning Bird“ 2

„Beauty“ . . 3

Totalizator 93 zwycięzcy; 30, 20, 17 plac“.

Zimny pot wystąpił na skronie Jimma.... „Agamemnon“ pierwszy?.... Czyżby John w rozdrażnieniu fałszywie przetelegrafował depeszę?.... Nie! To niemożliwe! „Beauty“ była pierwszą....

Drżąc na całem ciele poszedł ku oknu buchaltera.

— Czy wynik jest pewny? — zapytał zmienionym od wzruszenia głosem. — Wedle bowiem moich informacyj „Beauty“ powinna była zwyciężyć. Czy mógłbym zobaczyć oryginał depeszy?

Buchalter pokazał mu ją bez wahania.

— Przekleństwo! — krzyknął Jimm. — Ależ tu najwyraźniej stoi: „Beauty“, „Winning Bird“, „Agamemnon!“

— Dziś telegrafowano do nas w odwrotnym porządku wynik biegów — zauważył buchalter. — Uczyniliśmy to z ostrożności przed oszustami, którzy niekiedy podchwytują telegramy z naszego własnego drutu. Tak szanowny panie, to zdarza się dość często!

Za chwilę wyszedł z biura zakładów oszukany łotrzyk.

Jego nadzieje prysnęły niby bańka mydlana. Jakie było spotkanie Jimma z Johnem, można sobie przedstawić....

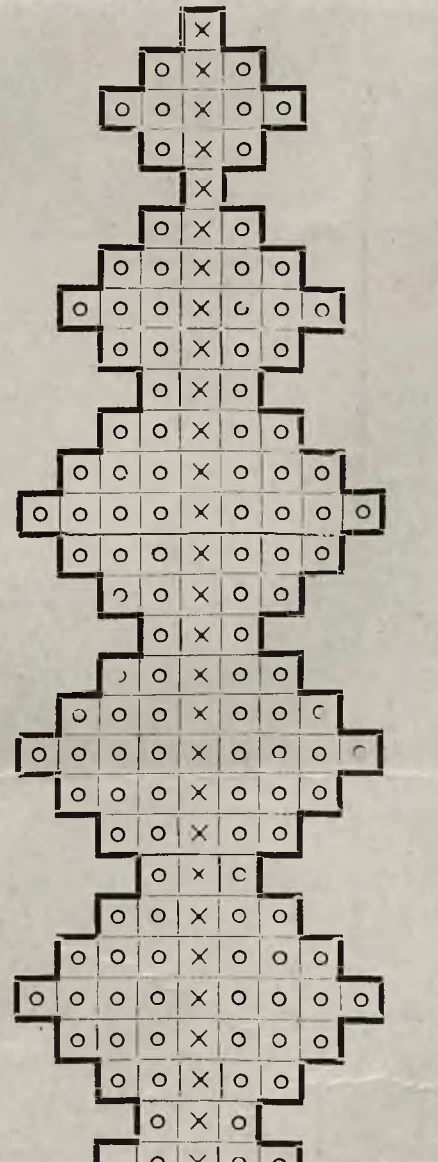
KONIEC.

Zagadki do nagrody

Logogryf.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Krzyżyki i kółka zastąpić literami tak, aby litery środkowe czytane z góry na dół, dały przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów 1 Spółgłoska 2 Polski poeta. 3. Imię męskie. 4. Ryba 5 Samogłoska. 6 Opłata od towarów zagranicznych. 7. Herb Litwy. 8. Choroba. 9. Ryba. 10. Rzeka w Austryi. 11 Gwałtowna burza 12. Państwo w Afryce. 13 Kwiat. 14. Ptak 15. Minerał. 16. Przeciąg czasu. 17 Miasto w Rosyi. 18 Przydomek jednego z Królów polskich. 19. Inaczej panowanie 20 Naczynie na wodę. 21. Zamek Królów polskich. 22. Rzeka w Afryce. 23. Imię Królowej serbskiej. 24. Inaczej chleb przaśny. 25 Inaczej słońcochron. 26. Początek dnia. 27. Zatoka bagnista. 28 Owad. 29. Imię męskie 30 Godność w hierarchii kościelnej. 31 Prowincya hiszpańska. 32. Polski współczesny powieściopisarz.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy »Wczasy literackie« A. Nowaczyńskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 20.

Arytmogryf.

C, ki**r**. adept, buńczuk, Helmholtz, **Ciechocinek**, Innocenty, admirał, Banat, Men, **k**

Ciechocinek.

Logogryf.

K, kto, proso, kotwica, śliwa, bas, t, era, Oesel, Foligno, miech, kr jcar, Brest, Balbina, biust, Acernus, pozew, okrężne, Józef, Hamburg, Chios, Dniestr, Gambrinus, gracyalista.

Kto wiatr sieje, burzę zbiera.

Zagadka zgłoskowa.

Janicki, akatolik, chaos Erywań, kowadło Monachium, arsenał, Lafontaine Cecora Antyoch, zwierzyniec, Emanuel Józef, Wekerle, Stachiewicz, kadłub Malmö, internat, Jenisej.

Jacek Malczewski — Józef Chełmoński.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Świtlikowa Rzeszów, L. Wygrzywalski Kraków E. Bogdalska Koropuż. Ks. Suski Brzezie, M. Małaczyński Pikułowice, M. Arbesbauer Lwów, Dr. S. Warmski Turka, H. Leligdowicz Fraga, K Fuchs Czeremchów, B. Ramułtowa Jeżów, F. Niepokój Krosno. Tow. »Zgoda« Krosno, H. Andrysik Dab, M. Opolska Czarny Dunajec, K. Ludwig Borysław, H. Kowalski Mogiła Fryderyk Han Sokal.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Fryd. Han Sokal, prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Do nakładu, przeznaczonego na Królestwo polskie, dołączamy w dzisiejszym numerze cennik Bazarów krajowych we Lwowie i Krakowie. Bazary te, pod zarządem »Krajowego Związku przemysłowego«, są przedsiębiorstwem obliczonem nie na zysk, a przedewszystkiem na propagowanie wytworów przemysłu krajowego. Doskonały materyał, solidne wykonanie, ogromny wybór i niskie ceny, obok hasła: »Kupujmy co kraj wytwarza« — zalecają wymownie oba bazary.

Uwagi godne uznanie

dla pana M. Freilicha,

jednego z największych hygienistów i powag lekarskich w leczeniu ruptury

(we Lwowie, ulica Grodecka 35).

Nasz członek honorowy M. Freilich we Lwowie, obdarzony dyplomem i złotym medalem przyznanym mu na III międzynarodowym zjeździe dla działalności filantropijnej i hygieny we Florencyi, otrzymuje od nas załączony dokument, przesłany nam przez naszego honorowego prezesa, prof. Dra med. Edwarda Reicha, dyrektora i wiceprezesa ces L.-C.-A. akademii.

Wielki ten uczony pisze w uznaniu dla p. M. Freilicha co następuje:

Szanowny Panie!

Każdy lekarz i hygienista, który przyczynia się do tego, aby zmniejszyć liczbę chirurgicznych operacyj, musi być ceniony jako dobroczyńca ludzkości. Szczególniejsze ma to znaczenie na polu przepukliny pachwinowej, czy też jelitowej.

Doświadczenie bowiem poucza, że liczba zmarłych przy operacyach w takich wypadkach jest daleko większą, aniżeli przez podobne krzywdzenie (lub operacyę) wyleczonych. Chodzi zatem o to, aby chorych na przepuklinę leczyć bez operacyi.

I w istocie wydaje się, że ten sposób leczenia daje nieporównanie lepsze rezultaty, aniżeli leczenie za pomocą operacyi.

Z pośród wielu metod, jakich trzymają się w najnowszych czasach przy leczeniu przepukliny bez operacyi, celem odwrócenia w ten sposób od ludzkości wielkiego niebezpieczeństwa, metoda p. M. Freilicha we Lwowie naszego zasłużonego członka honorowego, wydaje się być najlepiej pomyślaną i najszybciej do celu wiodącą. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, na ten sposób postępowania, który w małej broszurce niezadługo dokładniej będzie opisany, zwrócić uwagę, aby przy jego pomocy, ogromnej ilości ludzi wrócić zdrowie, a cierpiącym zaoszczędzić niebezpieczeństwa krwawej operacyi. Miałem za swój obowiązek z temi myślami się wypowiedzieć.

Z głębokim szacunkiem

Dr. med. Reich

Nienport-Bains w Belgii, 19 stycznia 1907.

Przestroga!!

Dawno już wypróbowana GREENSILL'A

woda do płukania ust

bywa naśladowana! Odrzucajcie flaszki, na których brak uwidocznionej tu **marki ochronnej.**

SCHUTZMARKE — MUND PRAEPARATE — SALVIOL

22—33

Do nabycia: we wszystkich aptekach, droguerach i lepszych składach perfum.

Najtańszy

Skład w Krakowie ulica Grodzka 58



Bogato illustrowany polski

CENNIK

wysyła darmo Najtańszy magazyn zegarmistrzowsko-jubilerski

Emil Goldwasser

w Krakowie ul. Grodzka 58/n

Zlecenia z prowincyi załatwia najsumienniej odwrotną pocztą.

Najdokładniejszy

portret

grafologiczny

za przysłaniem 2 kor. znaczkami pocztowymi i próbki pisma. Kraków, Poste restante »Grafologia«

Pistolet odtylcowy

pierwszej jakości!



Nowość!

jako wisiorek do zegarka, ze srebrną rękojeścią, oddaje strzał nader silny, wraz 25 patronami (kaliber 2 mm.) **2 kor.** — 1 hilza 25 ślepemi patronami osobno 40 h. Rozsyłka za zaliczką przez pierwszy fabryczny skład zegarów

HANNS KONRAD, c. k. nadw. dostawca w Brüx 649 (Czechy).

Bogato ilust. polski cennik z przeszło 3000 ilustr. darmo i opłatnie.

Niezrównanie praktyczny i tani jest mój wspaniały Garnitur do golenia nr. 8730

Z pięknie polerowanego drzewa szkatułka do zamykania z dającem się ustawiać zwierciadłem do golenia, zawiera wszelkie przybory golarskie, jak następuje: 1) **Brzytwa** bardzo dobra nr. 8701 dla każdego zarostu odpowiednia, ślicznie szlifow, i gotowa do użytku 2) Wyborny **rzemień do brzytwy** 3) **Pudełko** pasty do ostrzenia 4) Pudełko najlepszego **mydła** do golenia 5) Niklowane **naczynie** golarskie 6) **Pędzel** do golenia.

Wszystko razem tylko K 5·—



Ten sam garnitur, ale **brzytwa** z przyrządem **bezpieczeństwa** dla niewprawnych (wykluczone skaleczenie się) wraz z przepisem używania Kor. 7·—.

Sama **Brzytwa bezpieczeństwa** Kor. 3·50

Nr. 8762 **mydło golarskie**, całkiem łagodne i w najlepszym gatunku, a jednak dające się używać oszczędnie i bardzo dla skóry przyjemne — w ślicznym pudełku blaszanem K —40.

Nr. 8769 **Naczynie golarskie** z pędzlem, miseczką ltd. prześlicznie niklowane i w ładnem kartonowem pudełku — za sztukę kor. 1·20.

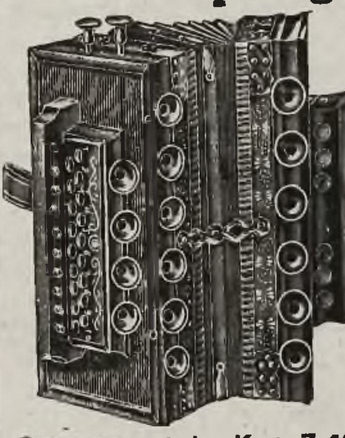
Rzemień do brzytew 20 cm. długi, K 1·20. **Maszynka do wystrzygania włosów** gotowe do użytku, prima jakości K 6·—. — Gwarancya: **Wymiana dozwolona** albo **zwrot pieniędzy.** przesyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem

C. i k. nadworny dostawca **HANNS KONRAD Dom przesyłkowy** w Brüx, Nr. 657 (Czechy).

Główny katalog polski illustr. z przeszło 3000 rycin. na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

23 25 27 29 31

- 8 dni do przeglądniecia -



w myśl zobowiązania w cenniku, następnie bez żadnego ryzyka dla zamawiającego wysyłam za zaliczką moją „Przyjaciel ludu Harmonia“ Nr. 663,¹/₄ aby każdego o niezrównanej wartości tejże przekonać. Harmonia ta zaopatrzona jest w niedające się złamać sprężyny stalowe tak w klawiszach jak i w basach i klapach powietrznych, po 10 klawiszy w 2-ch rzędach. Podwójne tony, 48 tonów, 3 rzędy trąbki, macnoliowe czarne listwy z kolorowemi wypustkami Niklowe okucie. Podwójne miechy. — Ochraniacze kątów zapięcie. W. 31X15 cm.

Cena za sztukę Kor. 7·40

Szkołę dla samouków otrzymuje każdy odbiorca darmo

Tańsze i mniejsze harmonie do poduczenia się gry na harmonii, a w szczególności dla dzieci K. 2·50, 3·80, 4·80, 5·80. Lepsze harmonie po K. 9·50, 10·80, 11·80, 13·50, 14·90 i wyżej są w moim katalogu uwidocznione. Do moich harmonii niema doliczonych kosztów cła, ponieważ są wszystkie czeskiego wyrobu. Żadnego ryzyka, ponieważ zapewniam każdemu zamianę, nawet zwrot pieniędzy. — Wysyłka za zaliczką przez

C. k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych

w Brüx, Nr. 394 (Czechy).

Bogato ilustrowany polski cennik z przeszło 3000 rycinami na żądanie darmo i opłatnie. 18—22

.: Pracownia i magazyn Obuwia :.

damskiego i męskiego tylko własnego wyrobu

Jan Szuller, Lwów, ul. Sykstuska L. 29

poleca obuwie gotowe jak również na zamówienia wykonane starannie i szybko wedle najnowszych fasonów i jestem w możności najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić. Z prowincyi zużyty bucik na miarę.

18—52 1—17 (908)



Cylindry, kapelusze

Habiga, Plessa, Scotta, Chrystysa, Borsoliny, Pichlera i z innych c. k. nadwornych fabryk

oraz

wyłączną sprzedaż na Kraków i zachodnią Galicyę

Słynnego Obuwia ameryk.

z fabryki **FLORSHEIM & Co. w CHICAGO** — posiada

Zdzisław Zdanowicz

Magazyn galanteryjny, skład kapeluszy, bielizny, obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży



w Krakowie, ul. Sławkowska 3/a (Hotel Saski)

Telefon 516.

Cenniki ilustrowane na żądanie wysyła darmo i opłatnie.

Wielki krach!

Z powodu zupełnej stagnacyi w Rosyi i Królestwie polskiem — wywóz całego nowego zapasu zegarków szwajcarskich skierowano na Austryę i nadesłano do jeneralnego zastępstwa i głównego magazynu fabryk genewskich pod firmą:

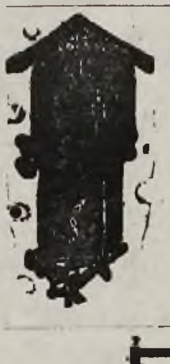


Aleksander Landau, Kraków, Stradom 2

20—24 **dyplomowany zegarmistrz.**

Olbrzymi transport słynnych zegarków we wszystkich tunkach, oraz bogaty wybór biżuteryi ze złota 14-kar Sprzedaję po cenach **50% niżej** cen fabrycznych. — niesły hanie niskich, o Zwraca się przeto uwagę P. T. Publiczności, by zechciała korzystać z tej rzadkiej sposobności taniego zakupna póki zapas starczy. Cenniki polskie wysyła na żądanie darmo.

Zegar ścienny



bardzo pięknej roboty, z mechanizmem sprężynowym do nakręcania kluczykiem. Każdą zmianę powietrza wskazują figury: na pogodę występuje gospodyni, na niepogodę gospodarz. Cena tylko K. 6·70. Wysyłka za zaliczką.

KAPELLNER i HOLZER

Kraków, Dietlowska 68/o.

Ilustr. cenniki z przeszło 1000 wzorami zegarków wyrobów srebrnych i złotych oraz różnych nowości, na żądanie darmo i opłatnie.

SPRZEDAŻ

DRZEW SZLACHETNYCH

W DESKACH I FORNIERACH

FILIP EBEL

LWÓW. SYKSTUSKA 12.

MARKA OCHRONNA

M. O. ESPERANTO W. S. L.

17—52 1—16 (1908)

Pierwsza galicyjska fabryka Bielizny i Kołder

Wiktor Sedlaczek, Lwów

plac Kapitulny 3

Poleca kołdry na wełnie po Kor. 10, 14, 18 do 60. Puchowe po K 30, 36, 44. — **Materace, sienniki,** poduszki z pierzem, **prześcieradła** na łóżka bez szwu po K 2·60 do 3·20, zszywane po K 1·90 do 2·20. **Prześcieradła pod kołdry** na guziki bez szwu po K 4·80, 5·40, 6·40, **Poszewki** białe po K 1·80, 2·20. — **Koszule** męskie i dla chłopców białe i kolorowe. **Kalesony** męskie i dla chłopców. **Skarpetki** męskie i dziecinne w gatunkach trwałych. — **Płótna** czysto lniane, **stołowy bielizna, ręczniki, chustki** do nosa, **ścierki, szyfony, płótna** bawełniane na każdą bieliznę i prześcieradła bez szwu, płótna i dymki na kalesony.

Ceny fabryczne. **Cenniki franko.**

Michał Rozmus

Lwów, ul. Ruska 3

Nowo założony 20—8

Zakład elektrotechniczny

i pracownia dla wszelkich robót mechanicznych urządza elektryczne światło, dzwonki, telefony, gromochrony, etc. po cenach przystępnych — poleca się łaskawym względom Szan. PT. Publiczności.

IGNACY SOBOLEWSKI

w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

Magazyn towarów bławatnych i gotowej Konfekcyi damskiej.

Towar doborowy 28—12 Ceny umiarkowane

Uwaga: Magazyn w niedziele i święta zamknięty.